

**REYMONT**  
**WŁADYSŁAW**  
**STANISŁAW**

CHŁOPI, CZĘŚĆ PIERWSZA  
- JESIEŃ

Reymont Władysław

**Chłopi, Część pierwsza – Jesień**

«Public Domain»

**Władysław R. S.**

Chłopi, Część pierwsza – Jesień / R. S. Władysław — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

## Содержание

I	6
II	12
III	22
IV	35
Конец ознакомительного фрагмента.	38

# **Władysław Stanisław Reymont**

## **Chłopi, Część pierwsza – Jesień**

*Miriamowi*  
*(Zenonowi Przesmyckiemu)*

## I

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków, moja Agato, a dokąd to wędrujecie, co?

– We świat, do ludzi, dobrodzieju kochany – w tyli świat!... – zakreśliła kijaszkiem łuk od wschodu do zachodu.

Ksiądz spojrział bezwiednie w tę dal i rychło przywarł<sup>1</sup> oczy, bo nad zachodem wisiało oślepiające słońce; a potem spytał ciszej, lękliwiej jakby...

– Wypędzili was Kłębowie, co? A może to ino niezgoda?... może...

Nie zaraz odrzekła, wyprostowała się nieco, powlekła ciężko starymi, wypełzłymi<sup>2</sup> oczami po polach ojesieniałych, pustych i po dachach wsi zanurzonej w sadach.

– I... nie wypędzali... jakżeby... dobre są ludzie – krewniaki. Niezgody też nijakiej być nie było. Samam ino zmiarkowała, że trza mi w świat. Z cudzego woza to złaż choć i w pół morza.

Trza było... roboty już la mnie nie miały... na zimę idzie, to jakże – darmo mi to dadzą warzę<sup>3</sup> abo i ten kąt do spania?...

A że rychtyk<sup>4</sup> i ciołka odsadzili od maci... a i gąski, bo to już zimne nocki, trza zagnać pod strzechę, tom i zrobiła miejsce... jakże, bydłatek szkoda, Boże stworzenie też... A ludzie dobre, bo mię choć latem przytulą, kąta ani tej łyżki strawy nie żałują, że se człowiek kiej jaka gospodyni paraduje...

A na zimę we świat, po proszonym.

Niewiela mi potrza, to se u dobrych ludzi uproszę i do zwiesny<sup>5</sup> z Panajezusową łaską przechyrlam, a jeszcze się coś niecoś grosza uścibi – to rychtyk la nich na przednówek<sup>6</sup>... krewniaki przeciech...

A już ta Jezusiczek przenajśłodszy biedoty opuścić nie opuści.

– Nie opuści, nie – zawołał gorąco i wstydliwie wsadził jej w garść złotówkę.

– Dobrodzieju nasz serdeczny, dobrodzieju!

Przypadła mu do kolan roztrzęsioną głową, a łyzy jak groch posypały się po jej twarzy szarej i zradlonej<sup>7</sup> jak te jesienne podorówki<sup>8</sup>.

– Idźcie z Bogiem, idźcie – szeptał zakłopotany podnosząc ją z ziemi.

Zebrała drżącymi rękami torby i kijaszek z jeżem<sup>9</sup> na końcu, przeżegnała się i poszła szeroką, wyboistą drogą ku lasom; raz wraz tylko odwracała się ku wsi, ku polom, na których kopano kartofle, i na te dymy pastusich ognisk, co się snuły nisko nad ścierniskami – poglądała żałośnie, aż i zniknęła za przydrożnymi krzami.

A ksiądz usiadł z powrotem na kółkach od pługa, zażył tabaki i rozłożył brewiarz<sup>10</sup>, ale oczy ześlizgiwały mu się z czerwonych liter i leciały po ogromnych, w jesiennej zadumie pograżonych ziemiach, to po bładym niebie błądziły lub zatrzymywały się na parobku, pochylonym nad pługiem.

---

<sup>1</sup> przywrzeć – przymknąć. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> wypełzły – wyblakły. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> warza – gotowany posiłek; por. warzyć: gotować. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> rychtyk – akurat, właśnie. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> zwiesna – wiosna. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> przednówek – dawniej najtrudniejszy do przetrwania na wsi okres, po zimie (w czasie której ludzie żywili się zapasami zebranyymi jesienią), a przed nowymi zbiorami. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> zradlony – poorany, naznaczony bruzdami (jak pocięta radłem ziemia). [przypis edytorski]

<sup>8</sup> podorówka – pole płytko zaorane po jesiennych zbiorach i w ten sposób przygotowane do wiosennej orki. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> kijaszek z jeżem – dawnym zwyczajem wędrowni żebracy nabijali na koniec kostura, którym się podpierali, skórę jeża, która służyła im do obrony przed napastliwymi psami. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> brewiarz – zbiór modlitw przeznaczonych do liturgii godzin (znanej zarówno kościołowi rzymskokatolickiemu, jak

– Walek... bruzda krzywa... te... – zawołał unosząc się nieco i chodził już oczami krok za krokiem za parą tłustych siwków, ciągnących pług ze skrzypem.

Zaczął znowu bezwiednie przebiegać czerwone litery brewiarza i poruszać ustami, ale co chwila gonił oczami siwki, to stadko wron, które ostrożnie, z wyciągniętymi dziobami podskakiwały w brudzie i raz wraz, za każdym świstem bata, za każdym nawrotem pługa, podrywały się ciężko, padały zaraz na zorane zagony i ostrzyły dzioby o twarde, zeschłe skiby.

– Walek! a śmignij no prawą po portkach, bo zostaje!

Uśmiechnął się, bo jakoż po bacie prawa już równo ciągnęła, a gdy konie doszły do drogi, uniósł się żywo, poklepał je przyjaźnie po karkach, aż wyciągały do niego nozdrza i przyjacielsko obwąchiwały twarz.

– Heeet–aa! – wołał śpiewnie Walek, wyciągnął błyszczący jakby ze srebra pług, uniósł go lekko, pociągnął konie lejcami, że zatoczyły krótki łuk, wraził krój błyszczący w rzysko, śmignął batem, konie pociąły z miejsca, aż zgrzytnęły orczyki – i orał dalej wielki łan ziemi, co pod prostym kątem spadał od drogi po pochyłości i niby długi wątek zgrzebnych skib rozciągał się aż ku wsi, leżącej nisko i jakby zatopionej w czerwonych i żółtawych sadach.

Cicho było, ciepło i nieco sennie.

Słońce, chociaż to był już koniec września, przygrzewało jeszcze niezgorzej – wisiało w połowie drogi między południem a zachodem, nad lasami, że już krze i kamionki, i grusze po polach, a nawet zeschłe twarde skiby kładły za się cienie mocne i chłodne.

Cisza była na polach opustoszałych i upajająca słodkość w powietrzu, przymglonym kurzawą słoneczną; na wysokim, bladym błękitcie leżały gdzieś niegdyś beładnie porzucane ogromne białe chmury niby zwały śniegów, nawiane przez wichry i postrzępione.

A pod nimi, jak okiem ogarnąć, leżały szare pola niby olbrzymia misa o modrych wrębach lasów – misa, przez którą, jak srebrne przedziwo rozbłysły w słońcu, migotała się w skrętach rzeka spod olch i łożin nadbrzeżnych. Wzbierała w pośrodku wsi w ogromny podłużny staw i uciekała na północ wyrwą wśród pagórków; na dnie kotliny, dokoła stawu, leżała wieś i grała w słońcu jesiennymi barwami sadów – niby czerwono–żółta liszka, zwinięta na szarym liściu łopianu, od której do lasów wyciągało się długie, splecione nieco przedziwo zagonów, płachty pól szarych, sznury miedz pełnych kamionek i tarnin – tylko gdzieś niegdyś w tej srebrnawej szarości rozlewały się strugi złota – łubiny żółciły się kwiatem pachnącym, to białe omdlałe, wyschłe łożyska strumieni albo leżały piaszczyste senne drogi i nad nimi rzędy potężnych topoli z wolna wspinały się na wzgórza i pochylały ku lasom.

Ksiądz ocknął się z zapatrzenia, bo długi, żalony ryk rozległ się gdzieś niedaleko, aż wrony poderwały się z krzykiem i skośnym rzutem leciały na kopaniska – a czarny migocący cień biegł za nimi dołem po rzyskach i podorówkach.

Przysłonił ręką oczy i patrzył pod słońce – drogą od lasów szła jakaś dziewczyna i ciągnęła za sobą na postronku dużą, czerwoną krowę; gdy przechodziła obok, pochwaliła Boga i chciała skrócić, aby księdza pocałować w rękę, ale krowa szarpnęła ją w bok i znowu ryczeć zaczęła.

– Na sprzedanie prowadzisz, co?

– Ni... ino do młynarzowego bysia... a stójże, zapowietrzona... Wściekłaś się czy co! – wołała zadyszana, usiłując powstrzymać, ale krowa ją pociągnęła, że już obie gnały w dyrdy, aż kurz je zakrył obłokiem.

A potem włókł się ciężko po piaszczystej drodze Żyd szmaciarz<sup>11</sup>, pchał przed sobą taczki dobrze naładowane, bo raz wraz przysiadł i ciężko dyszał.

– Co tam słyhać, Moszku?

---

grekokatolickiemu i mającej swój odpowiednik w różnych kościołach protestanckich); duchowni katolicy są zobowiązani do codziennego odmawiania całego brewiarza. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> szmaciarz – czyli zajmujący się zbieraniem zniszczonych materiałów do recyklingu. [przypis edytorski]

– Co słyhać?... Komu dobrze, to i dobrze słyhać... Kartofle chwała Bogu obrodziły, żyto sypie, kapusta będzie. Kto ma kartofle, kto ma żyto, kto ma kapustę – temu dobrze słyhać! – Pocałował księdza w rękaw, założył na kark pas od taczek i pchał dalej, lżej już, bo zaczynał się spadek łagodny.

A potem szedł środkiem drogi w kurzawie, bo zamiatał nogami, ślepy dziad prowadzony przez tłustego kundla na sznurku.

A potem leciał od lasu chłopak z butelką, ale ten ujrzawszy księdza przy drodze okrążył go z dala i biegł na przełaj pól do karczmy.

To znowu chłop z sąsiedniej wsi wioził zboże do młyna albo Żydówka pędziła stado kupionych gęsi.

A każdy pochwalił Boga, zamienił słów parę i szedł w swoją drogę, odprowadzany życzliwym słowem i spojrzeniem księdza, któren, że już słońce było coraz niżej, powstał i krzyknął do Walka:

– Doórz do brzózek i do domu... na nic się konie zmachają.

I poszedł wolno miedzami, odmawiał półgłosem modlitwy i jasnym, pełnym kochania spojrzeniem ogarniał pola...

...Rzędy kobiet czerwieniły się na kopaniskach... rozlegał się grochot zsypywanych do wozów kartofli... miejscami orano jeszcze pod siew... stada krów srokatych pasły się na ugorach... długie, popielate zagony rdzawiły się młodą szczotką zbóż wschodzących... to gęsi niby płaty śniegów bieleły się na wytartych, zrudziałych łąkach... krowa gdzieś zaryczała... ogniska się paliły i długie, niebieskie warkocze dymów ciągnęły się nad zagonami... Wóz zaturkotał albo pług zgrzytnął o kamienie... to cisza znowu obejmowała ziemię na chwilę, że słyhać było głuchy bełkot rzeki i turkot młyna, schowanego za wsią, w zbitym gąszczu drzew pożółkłych... to znowu śpiewka się zerwała lub krzyk nie wiadomo skąd powstały leciał nisko, tłukł się po bruzdach i dołach i tonął bez echa w jesiennej szarości, na ścierniskach oprzędzonych srebrnymi pajęczynami, w pustych sennych drogach, nad którymi pochylały się jarzębiny o krwawych, ciężkich głowach... to włóczono role i tuman szarego, przesłonecznionego kurzu podnosił się za bronami, wydłużał i pełzał aż na wzgórze i opadał, a spod niego niby z obłoku wychylał się bosy chłop, z gołą głową, przewiązany płachtą – szedł wolno, nabierał ziarna z płachty i siał ruchem monotonnym, nabożnym i błogosławiącym ziemi, dochodził do końca zagonów, nabierał z worka zboża, nawracał i z wolna podchodził pod wzgórze, że najpierw głowa rozczochrana, potem ramiona, a w końcu już był cały widny na tle słońca z tym samym błogosławiącym ruchem siejby; z tym samym świętym rzutem rozrzuczał zboże, co jak złoty pył kolistym wirem padało na ziemię.

Ksiądz szedł coraz wolniej, czasem przystawał, aby odetchnąć, to znowu obejrzał się na swoje siwki, to przyglądał się chłopakom, obtłukującym kamieniami ogromną gruszę, aż hurmem przybiegli do niego i chowając ręce za siebie całowali w rękaw sutanny.

Pogładził ich po głowach i rzekł upominająco:

– Nie łamcie ino gałęzi, bo na bezrok<sup>12</sup> gruszek mieć nie będziecie.

– My nie rzucalim na gruszki, ino że tam jest gapie gniazdo<sup>13</sup> – ozwał się śmielszy.

Ksiądz się uśmiechnął dobrotliwie i zaraz znowu przystanął przy kopaczach.

– Szczęść Boże w robocie!

– Boże zapłać, dziękujemy! – odpowiedzieli razem, prostując się, i ruszyli wszyscy do ucałowania rąk dobrodzieja kochanego.

– Pan Bóg dał latoś urodzaj na kartofle, co? – mówił, wyciągając otwartą tabakierkę do mężczyzn – brali sumiennie i z szacunkiem w szczypty, nie śmiejąc przy nim zażywać.

– Juści, kartofle kiej kocie łby i dużo pod krzami.

– Ha, to świnię zdrożają, bo jaki taki chciał będzie wsadzać do karmika.

---

<sup>12</sup> na bezrok – w przyszłym roku. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> gapie gniazdo – gniazdo wron (zwanych też gapami). [przypis edytorski]

- Już i tak drogie; na zarazę latem wyginęły, a i do Prus kupują.
- Prawda, prawda. A czyje to ziemniaki kopiecie?
- A Borynowe.
- Gospodarza nie widzę, tom i rozeznać nie rozeznał.
- Ociec pojechali z moim ano do boru.
- A to wy, Anna, jakże się macie? – zwrócił się do młodej, przystojnej kobiety w czerwonej chustce na głowie, która, że ręce miała uwalane ziemią, przez zapaskę ujęła jego rękę i pocałowała.
- Jakże się ma ten wasz chłopak, com go to we żniwa chrzcil?
- Bóg zapłać dobrodziejowi, zdrów się chowa i coś niecoś bałykuje<sup>14</sup>.
- No, zostańcie z Bogiem.
- Panu Bogu oddajem.

I ksiądz skręcił na prawo, ku cmentarzowi, który leżał z tej strony wsi, przy topolami wysadzonej drodze.

Długo za nim spoglądali w milczeniu, na jego smukłą, pochyloną nieco postać, dopiero gdy przeszedł niskie, kamienne ogrodzenie cmentarza i szedł między mogiłami ku kaplicy, co stała wśród pożółkłych brzoź i klonów czerwonych, rozwiązały się im języki.

– Lepszego to i na całym świecie nie znaleźć – zaczęła któraś z kobiet.

– Juści, chciały go też zabrać do miasta... żeby ociec z wójtem nie jeździli prosić biskupa, to byśwa go i nie mieli...Kopta no, ludzie, kopta, bo do wieczora mało daleko, a ziemniaków mało wiele<sup>15</sup>! – mówiła Anna wysypując swój kosz na kupę żółtą się na rozkopanej ziemi, pełnej zeschniętych łęcin.

Wzięli się chyżo za robotę i w cichości, że ino słyhać było dziabanie motyczek o twardą ziemię, a czasem suchy dźwięk żelaza o kamień. Czasami ktoś niektoś wyprostował zgięty i zbolały grzbiet, odetchnął głęboko, popatrzył bezmyślnie na siejącego przed nimi i znowu kopał, wybierał z szarej ziemi żółte ziemniaki i rzucał do kosza przed się stojącego.

Ludzi było kilkanaścioro, przeważnie starych kobiet i komorników, a za nimi bieleły się dwa krzyżaki, u których w płachtach leżały dzieci raz wraz popłakując.

– A tak i stara poszła we świat – zaczęła Jagustynka.

– Kto? – spytała Anna podnosząc się.

– A stara Agata.

– Na żebry...

– Juści, że na żebry! Hale! nie na słodkości, ino na żebry. Obrobiła krewniaków, wysłużyła się im bez lato, to już ją puściły na wolny dech.

– Wróci na zwiesnę, to im naznosi w torebeczkach, a to i cukru, a to i harbaty, a to i grosza coś niecoś; zaraz ją będą miłowały, każą spać w łóżku, pod pierzyną, robić nie dadzą, coby se wypoczena... A wujna, a ciotka jej mówią, póki tego ostatniego szelągka od niej nie wyciągną... A jesienią to już la niej miejsca nie ma w sieni ani we chliwie. Ścierwy, psie krewniaki i zapowietrzzone – wybuchała Jagustynka i taki gniew ją przejął, że stara jej twarz posiniała.

– Biednemu to zawsze na ten przykład wiatr w oczy – dorzucił jeden z komorników, stary, wynędzniały chłop z krzywą gębą.

– Kopta no, ludzie, kopta – popędzała Anna nierada tokowi rozmowy.

Jagustynka, że to długo nie mogła bez gadania, to spojrzała na siejącego i rzekła:

– Te Paczesie to stare chłopy, że jaże im już kłaki na łbach puszczają...

– Ale kawalery zawdy – rzekła insza kobieta.

– A tyle dziewuch się starzeje albo i służby szukać idzie...

– Przeciech, a one mają cały półwólczek i jeszcze łączkę za młynem.

---

<sup>14</sup> *bałykować* – raczkować. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *mało wiele* – niewiele, niezbyt wiele. [przypis edytorski]

- Juści, abo to im matka da się żenić... abo to im popuści...
- A kto by krowy doił, kto by opierał, kto by kole gospodarstwa abo i śwyni chodził...
- Obrządzają se matulę i Jagusię, bo jakże, Jagna kiej pani jaka, kiej i druga dziedziczka, ino się stroi... a myje, a w lusterku przegląda, a warkocze zaplata.
- I patrzy ino, kogo by puścić pod pierzynę, któren aby mocny! – dorzuciła znowu ze złym uśmiechem Jagustynka.
- Józek Banachów posyłał z wódką – nie chciała.
- Cie... dziedziczka zapowietrzona.
- A stara ino w kościele siaduje, a na księżce się modli, a na odpusty chodzi!
- Prawda, ale czarownica to też jest; a Wawrzonowym krowom to chto mleko odebrał, co? A jak na Jadamowego chłopaka, co jej śliwki w sadku obrywał, jakieś złe słowo powiedziała, to mu się zaraz taki kołtun zbił i tak go pokręciło, Jezus!
- I ma tu błogosławieństwo Boże być nad narodem, kiej takie we wsi siedzą...
- A drzewiej, kiej jeszcze krowy pasalam tatusiowe, to baczę, że takie ze wsi wyganiali – dodała znowu Jagustynka.
- Tym się krzywda nie stanie, bo ma ją kto strzec... – i zniżając głos do szeptu, a patrząc z ukosa na Annę, co kopała na przedzie pierwszą z kraja redlinę, szeptała Jagustynka sąsiadkom:
- A pono pierwszy do obrony to ano chłop Hanki... cieka się on za Jagną kiej ten pies...
- Laboga... moiściewy... cudeńka prawicie... Hale! to by już grzech i obraza boska była... – szeptały do siebie kopiąc i nie podnosząc głów.
- A bo to on jeden... a to jak za suką, tak chłopaki za nią ganiają.
- A bo też urodę ma, to ma; wypasiona kiej jałowica, biała na gębie, a ślepie to ma rychtyk<sup>16</sup> jak te lnowe kwiatki... a mocna, że i niejeden chłop jej nie uradzi...
- A bo to co robi, ino żre a wysypia się, to nie ma urodna być...
- Milczały długą chwilę, bo trzeba było kartofle wysypywać na kupę.
- A potem już z rzadka pogadywały to o tym, to o owym, aż i zamilkły, bo któraś dojrzała, że od wsi rżyskiem bieży Józka Borynianka.
- Jakoż i ta nadbiegała zziajana i już z daleka krzyczała:
- Hanko, a chodźcie ino do chałupy, bo krowie się cosik stało.
- Jezus Maria, a której?...
- A to ci graniastej... a to ci... tchu złapać nie mogę...
- Loboga, aże mnie zatknęło, myślałam, że mojej... – zawołała z ulgą Anna.
- Witek ją co dopiero przygnał, bo gajowy ich wypędził z zagajów. Krowa się zlachala, bo taka śpaśna... i zaraz przed oborą upadła... i ani pić nie pije, ani żreć nie żre, ino się tarza, a ryczy, że loboga!
- Ojca to nie ma?
- Ni, tatulo jeszcze nie przyjechali. O Jezus, mój Jezus, taka krowa, co na raz dobrze i garniec mleka dawała. A chodźcież rychło.
- Duchem ci leczę, w to oczymgnienie.
- Jakoż i wyjęła dziecko z płachty, nadziała mu czapeczkę z kutasikami<sup>17</sup>, okręciła zapaską i poszła żywo, a taka była strwożona wieścią, że nawet nie opuściła wełniaka, zapomniała do cna, aż jej odsłonięte do kolan nogi bieleły się po roli. Józka biegła przodem.
- A kopacze, każdy okrakiem nad swoją redliną, posuwali się z wolna, kopiąc leniwiej, jako że nikt nie pilił i nie poganiał.

---

<sup>16</sup> *rychtyk* – akurat, właśnie, dokładnie. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *kutasik* (daw., gw.) – frędzel, pompon; element dekoracyjny stroju wykonany ze związanego w pędzel pęczka nici. [przypis edytorski]

Słońce już się przetaczało na zachód i jakby rozżarzone biegiem szalonym czerwieniło się kołem ogromnym i zsuwało za czarne, wysokie lasy. Mrok gęstniał i pełzał już po polach; sunął brudami, czał się po rowach, wzbierał w gąszczach i z wolna rozlewał się po ziemi, przygaszał, ogarniał i tłumiał barwy, że tylko czuby drzew, wieże i dachy kościoła gorzały płomieniami.

A niektórzy ściągali już z pól do domów.

Głosy ludzkie, rżenia, porykiwania, turkoty wozów coraz ostrzej brzmiały w cichym, omroczonym powietrzu.

Sygnaturka na kościele zaczęła dzwonić Anioł Pański spizowym świegotem, że ludzie przystawali i szept pacierzów, niby szemranie opadających listków, padał w mroki.

Ze śpiewami a pokrzykami wesołymi spędzano bydło z pastwisk, co ciżbą szło drogami w tumanach kurzawy, że tylko raz wraz wychylały się z niej głowy potężne i rogi krzaczaste.

Owce pobekiwały tu i owdzie, to gęsi zerwały się z pastwisk i stadami leciały, całe w zorzach zachodu zatopione, że tylko krzyk przenikliwy znaczył je w powietrzu.

– Ale szkoda, ta graniasta to sielna<sup>18</sup> krowa.

– I... nie na biedaka trafiło.

– A tak i bydłatka żal, co się zmarnuje.

– Gospodyni Boryna nie ma, to wszystko leci kiej przez sito.

– A bo to Hanka nie gospodyni?

– La siebie... jakby na komornym u ojca siedzą, to juści patrzą, aby ino na swoją stronę coś niecoś urwać, a ojcowego niechta pies pilnuje.

– A Józka, że to jeszcze skrzat głupi, to i cóż poradzi?

– Hale, albo to Boryna nie mógłby gront oddać Antkowi, co?

– A sam pójdzie do nich na wycug, co?... Starzyście, Wawrzku, a do cna jeszcze głupi – zaczęła żywo Jagustynka. – Ho, ho, Boryna jeszcze krzepki, może się ożenić, a głupi by był, żeby dzieciom zapisywał.

– Hale, krzepki to juści, że jest, ale już ma ze sześćdziesiąt років.

– Nie bój się, Wawrzku, każda młódka pójdzie za niego, niechby tylko rzekł.

– Już dwie żony pochował.

– Niech se pochowa i trzecią, Panie Boże mu pomóż, a niech dzieciom, póki żyw, nie daje ni staja, ni lizki jednej, ni tyle, co trepem przydepnie. Ścierwy, wyrzycowałyby go, kiej moje mnie. Dałyby mu wycugi, że na wyrobek by chodził, z głodu by zdychał albo i na żebry, po proszonym szedł. Oddaj ino, co masz, dzieciom – to ci oddadzą; rychtyk ci tego starczy na sznureczek albo i na ten kamień do szyi...

– Ludzie, a to czas do domu, mroczeje.

– Czas, czas! Słońce już zaszło.

Pozbierali prędko motyczki, koszyki, to dwojaki od obiadów i szli wolno gęsiego miedzą, pogadując coś niecoś, a tylko stara Jagustynka wykrzykiwała wciąż namiętnie na dzieci własne, a potem już i na wszystkich pomstowała.

A równo z nimi jakaś dziewczyna gnała maciorę z prosiętami i śpiewała cienkim głosikiem:

Aj, nie chodź kiele woza,  
Aj, nie trzymaj się osi,  
Aj, nie daj chłopu gęby,  
Aj, choć cię pięknie prosi.

– Cie, głupia, wrzeszczy, kiejby ją kto ze skóry obdzierał.

---

<sup>18</sup> *sielna* – silna, potężna, wielka, dorodna. [przypis edytorski]

## II

Na borynowym podworcem obstawionym z trzech stron budowlami gospodarskimi, a z czwartej sadem, który go oddzielał od drogi, już się zebrało dość narodu; kilka kobiet radziło i wydziwiała nad ogromną czerwono-białą krową, leżącą przed oborą na kupie nawozu.

Stary pies, kulawy nieco i z oblazłą na bokach sierścią, oganiał graniastą, obwąchiwał ją, szczekał, to wypadał w opłotki i gnał dzieci na drogę, co się były wieszaly na płotach i zazierały ciekawie w obejście, albo docierał do maciory, co legła pod chałupą i rozwalona jęczała cicho, bo ssaly ją białe, młode prosięta.

Hanka nadbiegła właśnie zziajana, przypadła do krowy i jęła ją głaskać po gębuli i łbie.

– Granula, biedoto, granula! – wołała łzawo, aż buchnęła płaczem i lamentem serdecznym.

A kobiety radziły raz wraz nowe ratowanie chorej; to sól rozpuszczoną wlewali jej w gardło, to topiony z poświęcanej gromnicy воск z mlekiem; radził ktosik mydła z serwatką – insza znowu wołała, żeby krew puścić – ale krowie nic nie pomagało, wyciągała się coraz dłużej, niekiedy podnosiła łeb i porykiwała długo, jakby o ratunek, boleśnie, aż jej piękne oczy o białkach różowych mętniały mgłą i ciężki, rogaty łeb opadał z wysilenia, że ino wysuwała ózór i polizywała ręce Hanki.

– A może by Ambroży co poradził? – zaproponowała któraś.

– Prawda, na chorobach on jest znający – zawtórowali.

– Bieżyj no, Józia! Na Anioł Pański dzwonili, to musi jeszcze być przy kościele. Laboga, a jak ociec nadjadą, będzie to pomstowanie, będzie. – A przeciech my niczego niewinowate! – narzekała płaczliwie.

A potem siadła na progu obory, wsadziła chłopakowi w usta, bo popłakiwał, białą pełną pierś i z trwogą niezmierną spoglądała na krowę rżącą, to przez opłotki na drogę i nasłuchiwała.

W pacierz abo i dwa wpadła Józia z krzykiem, że Jambroży już idą.

Jakoż i przyszedł zaraz dziad może stuletni, prosty jak świeca, choć o nodze drewnianej i o kiju; twarz miał suchą, pomarszczoną jak kartofel na zwieszę i szarą takóž, wygoloną i pociętą szramami, włosy białe jak mleko kosmykami opadały mu na czoło i kark, bo był z gołą głową.

Poszedł prosto do krowy i dokumentnie ją obejrzał.

– Oho, widzę, że świeże mięso jedli będzieta.

– A dyć jej pomóżcie co, wylekujcie<sup>19</sup>, a toć krowa ze trzysta złotych warta – i dopiero po cielęciu, a dyć pomóżcie! O mój Jezu, mój Jezu! – zawołała Józia.

Ambroży wyjął z kieszeni puszcza<sup>20</sup>, powecował<sup>20</sup> je po cholewie, przyjrzał się pod zorzę ostrzu i przeciął granulę arterie pod brzuchem – ale krew nie trysnęła, a ciekła wolno czarna, spieniona.

Stali wszyscy dokoła pochyleni i patrzyli bez oddechu.

– Za późno! Oho, bydłatko ostatnią parę puszcza – rzekł uroczyście Ambroży. – Nic to, ino paskudnik albo i co innego... trza było zaraz, kiej zachorzała... ale te baby to ino juchy do płakania są mądre, a jak trza radzić, to w bek kiej owce. – Splunął pogardliwie, obszedł krowę, zajrzał jej w oczy, przyjrzał się ozorowi, obtarł zakrwawione ręce o jej miękką, lśniącą skórę i zabierał się do odejścia.

– Na ten pochówek dzwonił nie będę; zadzwonita w garki sami.

– Ociec z Antkiem! – krzyknęła Józka i wybiegła na drogę naprzeciw, bo głuchy, ciężki turkot rozległ się z drugiej strony stawu, gdzie w rozczzerwienionej zorzami zachodu kurzawie czerniał długi wóz i konie.

– Tatulu, a to... graniasta już zdycha – wołała, dobiegając do ojca, który skręcał właśnie na tę stronę stawu. Antek szedł w końcu i podtrzymywał, bo wieźli długą sosnę.

---

<sup>19</sup> wylekujcie – wyleczcie. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> powecować (z niem. *wetzen*) – ostrzyć. [przypis edytorski]

– Nie pleć byle czego po próżnicy – mruknął podcinając konie.

– Jambroży puszczali krew i nic... i wosk topiony lali jej w gardziel i nic... i sól... i nic... pewnie paskudnik... Witek pedał, co borowy wygnał ich z zagajów i co granula zara się pokładała i stękała, jaże ją i przygnał...

– Graniasta, najlepsza krowa, ażeby was, ścierwy, pokręciło, kiej tak pilnujecie! – rzucił lejce synowi i z batem w garści pobiegł przodem.

Baby się rozstały, a Witek, który cały czas coś najspokojniej majstrował pod chałupą, skoczył w ogród i przepadł ze strachu, nawet Hanka podniosła się na progu i stała bezradna, strwożona.

– Zmarnowali mi bydłę!... – wykrzyknął wreszcie stary, obejrzawszy krowę.

– Trzysta złotych jak w błoto! Do miski to ścierwów aż gęsto, a przypilnować nie ma kto. Taka krowa, taka krowa! A to człowiek ruszyć się z domu nie może, bo zaraz szkoda i upadek...

– Dyc ja od południa samego byłam przy kopaniu – tłumaczyła się cicho Hanka.

– A bo ty co kiej widzisz! – krzyknął z wściekłością. – A bo ty stoisz o moje!... Taka krowa, taki haman, że i drugiej nie w każdym dworze by znalazł!

Wyrzekał coraz żałośniej i obchodził ją, próbował podnieść, ciągał za ogon, zaglądał w zęby, ale krowa dyszała chrapliwie i coraz ciężej, krew przestała płynąć, tylko krzepła w czarne, spieczone żuzle – wyraźnie już zdychała.

– Nie ma co, ino ją trza dorznąć, choć tyła się wróci! – rzekł w końcu, przyniósł kosę ze stodoły, poostrzył ją nieco na taczalniku, co stał pod okapem obory, rozdział się ze spencerka<sup>21</sup>, zawiął rękawy koszuli i zabrał się do zarzynania...

Hanka z Józją buchnęły płaczem, bo granula, jakby czując śmierć, uniosła z trudem łeb, zaryczała głucho i... padła z przerzniętym gardłem, grzebiąc ino nogami...

Pies zlizywał krzepnącą na powietrzu krew, a potem skoczył na doły od kartofli i czekał na konie stojące z wozem w opłotkach, bo tam je zostawił Antek, a sam spokojnie przyglądał się jatce.

– Nie bucz, głupia! Ojcowa krowa to nie nasza strata! – powiedział ze złością do żony i zabrał się do wyprzęgania i rozbierania koni, które już Witek ciągnął za grzywy do stajni.

– Ziemiaków w polu dużo? – zagadnął Boryna, myjąc pod studnią ręce.

– A bogać tam mało, będzie ze dwadzieścia worków.

– Trzeba dzisiaj zwieźć.

– Hale, zwoźcie se sami, ja już kulasów nie czuję ni krzyża... a i licowy kuleje na przednią.

– Józka, zwołaj no Kubę od kopania, niech żróbkę założy za licowego i trza dzisiaj zwieźć. –

Deszcz ano być może.

Ale wrzał złością i zmartwieniem, bo coraz to przystawał przed krową i kłął siarczyście, a potem łaził po podwórzu i zaglądał to do obory, to do stodoły, to pod szopę i sam nie wiedział, czego szuka, żarła go ano taka strata.

– Witek! Witek! – jął wołać i odpinał szeroki ramię z bioder, ale chłopak się nie pokazał.

Ludzie się porozchodzili, bo rozumieli, że taka szkoda i taka markotność musi się skończyć bitką, jako że do niej Boryna był skory zazwyczaj, ale stary kłął tylko dzisiaj i poszedł do izby.

– Hanka, a daj no jeść! – krzyknął na synową w otwarte okno i poszedł na swoją stronę.

Dom był zwykły, kmiecy – przedzielony na przestrzał sienią ogromną; szczytem wychodził na podwórze, a frontem czterookiennym na sad i na drogę.

Jedną połowę od ogrodu zajmował Boryna z Józją, a na drugiej siedzieli Antkowie. Parobek z pastuchem sypiali przy koniach.

W izbie było już czarniawo, bo przez małe okienka, przysłonięte okapem i zagajone drzewami, mało przeciskało się światła, a i mrozczało już na świecie, że tylko połyskiwały szkła obrazów świętych, co rzędem czerniły się na bielonych ścianach; izba była duża, ale przygnieciona czarnym

---

<sup>21</sup> spencerek – kurtka z kołnierzem i kieszeniami. [przypis edytorski]

pułapem i ogromnymi belkami pod nim, i tak zastawiona różnym sprzętem, że tylko koło wielkiego komina z okapem, co stał przy siennej ścianie, było nieco swobodnego miejsca.

Boryna się rozzuł i poszedł do ciemnego alkierza<sup>22</sup>, zamykając drzwi za sobą, odsunął z małej szybki deskę, że zachodnie światło krwawym brzaskiem załało alkierz.

Izdebka pełna była różnych rupieci i statków gospodarskich, na drążkach, w poprzek przewieszonych, wisały kozuchy, czerwone pasiaste wełniaki, białe sukmany, to całe pęki motków szarej przędzy i zwinięte w kłęby brudne runa owiec i worki z pierzem. Wyciągnął białą sukmanę i pas czerwony, a potem długo czegoś szukał w beczkach napełnionych zbożem, to w kącie pod stosem starych rzemieni i żelastwa, aż usłyszawszy Hanke w pierwszej izbie, zaciągnął deskę na okienko i znowu coś długo grzebał w zbożu.

A na ławie pod oknem już się dymiło jadło; od ogromnego tygla z kapustą rozchodził się zapach słoniny, jak i od jajecznicy, której niezgorsza miseczka stała obok.

– Gdzie Witek pasł krowy? – zapytał, krając potężny glon chleba z bochna, jak przetak<sup>23</sup> wielkiego.

– Na dworskich zagajach i borowy go stamtąd wygonił.

– Ścierwy, zmarnowali mi bydłę.

– Przeciech, tylo krowa, to się zlachala w tym gonieniu, że się w niej cosik zapaliło.

– Dziadaki, psiekrwie. Paśniki są nasze, w tabeli stoi kiej wół, a one ciągiem wyganają i pedają, co<sup>24</sup> ich.

– Drugich też powyganiali, a chłopaka Walkowego tak zbił, tak zbił...

– Ha! do sądu trza abo i do komisarza. Trzysta złotych warta, jak nic.

– Pewnie, pewnie – przytakiwała rada niezmiernie, że ociec się udobruchali.

– Powiedzcie Antkowi, że skoro ziemniaki zwieją, to niech się wezmą do krowy, trza ją obłupić i poćwiertować. Przyndę od wójta, to wama pomogę. W sąsieku<sup>25</sup> u belki ją powiesić – będzie przespiecznie<sup>26</sup> ode psów lebo jenszej gadziny...

Skończył wrychle<sup>27</sup> jeść i wstał, bych się nieco przyogarnąć, ale takie ociążenie poczuł w sobie, takie ciągotki w kościach, taką senność, że jak stał, rzucił się na łóżko, by się z pacierz<sup>28</sup> przedrzymać.

Hanka poszła na swoją stronę i krzątała się po izbie, i coraz to wychylała się przez okno spojrzeć na Antka, który pożywiał się na ganku, przed domem; odsadził się od miski obyczajnie i z wolna ciągnął łyżkę za łyżką, skrzybiąc mocno o wręby i spojierając czasami przed się na staw – bo zachód już był i na wodzie czyniły się złotopurpurowe tęcze i płomienne koliska, przez które niby białe chmurki przepływały z gęgotem gęsi, rozlewając dziobami sznury krwawych pereł.

Wieś zaczynała się mrowić i wrzeć ruchem; na drodze, z obu stron stawu, ciągle podnosiły się kurzawy i turkoty wozów, i porykiwania krów, które wchodziły do stawu po kolana, piły wolno i podnosiły ciężkie łby, aż cienkie strugi wody, niby bicze opali, opadały im z szerokich gębów.

Gdzieś, od drugiego końca stawu, słyhać było trzask kijanek<sup>29</sup> bab piorących i głuchy, monotonny łopot cepów<sup>30</sup> w jakiejś stodole.

---

<sup>22</sup> *alkierz* – ustronny pokój, często w narożniku budynku; garderoba. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *przetak* – rodzaj sita. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *pedają, co* – powiadają, że. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *sąsiek* – wydzielona część spichlerza, w której składowano w skrzyniach ziarno. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *przespiecznie* – bezpiecznie. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *wrychle* – szybko. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *pacierz* – tu: miara czasu (tyle, ile potrzeba na odmówienie pacierza). [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *trzask kijanek* – kijanka był to przyrząd drewniany, za pomocą którego kobiety prały bieliznę i ubrania w rzece, uderzając kijanką materiał zanurzony w wodzie. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *cep* – proste narzędzie służące do młócenia zboża, zbudowane z dwóch połączonych ze sobą rzemieniem lub łańcuchem kijów, z których dłuższy (dzierzak) służył jako uchwyt, a krótszy (bijak) do uderzania w zboże, ułożone na twardym podłożu; dzięki umiejętnemu uderzaniu (bijak powinien spadać płasko, a nie na sztorc) oddziela się ziarno od plew i słomy. [przypis edytorski]

– Antek, urąb no pieńków, bo sama nie poradzę – prosiła nieśmiało i z obawą, bo nic to nie było u niego skłąć abo i zbić z leda powodu.

Nie odrzekł nawet, jakby nie słyszał, że ona nie śmiała powtórzyć i już sama poszła udziabywać trzaski z pni – i milczał zły, zmęczony całodzienną pracą srodze, i patrzył teraz na staw, na drugą stronę, w duży dom, świecący białymi ścianami i szybami okien, bo zachód bił w niego. Pęki czerwonych georginii wychylały się zza kamiennego płotu i paliły jaskrawo na tle ścian, a przed chałupą, w sadzie, to między opłotkami uwijała się wysoka postać, ale twarzy rozeznac nie można było, bo co chwila ginęła w sieni, to pod drzewami.

– Śpią se kiej dziedzic, a ty, parobku, rób – mruknął ze złością, bo ojcowe chrapanie rozlegało się aż na ganku.

Poszedł na podwórze i raz jeszcze przyjrzał się krowie.

– Juścik, ojcowa krowa, ale i nasza strata – rzekł do żony, która, że to Kuba przywiózł ziemniaki z pola, rzuciła łupanie drzewa i szła do woza.

– Doły jeszcze nie wyporządzone, to trza zesuć<sup>31</sup> na klepisko.

– Kiej ociec mówili, żebyś na klepisku krowę z Kubą obdarł i wyporządził.

– Zmieści się i krowa, zmieszczą się i ziemniaki – szeptał Kuba, otwierając wierzeje stodoły na roścież.

– Ja ta nie jestem drzyk, cobym krowę obłupiał ze skóry – rzucił Antek.

I już nie mówili, słychać było tylko grochot zsypywanych na klepisko ziemniaków.

Słońce zgasło, wieczór się robił, świeciły jeszcze zorze łunami zakrzepłej krwi i ostygnięto złota i posypywały na staw jakby pyłem miedzianym, że wody ciche drgały rdzawą łuską i szmerem sennym.

Wieś zapadała w mrokach i w głęboką, martwą ciszę jesiennego wieczora. Chałupy mały, jakby się przypłaszczwały do ziemi, jakby się tuliły do drzew sennie pochylonych, do płotów szarych.

Antek z Kubą zwozili ziemniaki, a Hanka z Józią uwijały się koło gospodarstwa, bo gęsi trza było zagnać na noc, to świnię nakarmić, bo z kwikiem cisnęły się do sieni i wsadzały żarłoczne ryje do cebratek<sup>32</sup>, gdzie stało picie dla bydła, to krowy wydoić, bo właśnie Witek przygnał resztę z pastwiska i zakładał im za drabiny po garści siana, żeby spokojniej stały przy dojeniu.

Jakoż Józia zabrała się doić pierwszą z brzegu, gdy Witek wylazł od żłobów i spytał cicho, trwożnie:

– Józia, a gospodarz źli?...

– O Jezuu, spiera cię, chudziaku, spiera... tak pomstowali – odpowiedziała, wytykając ku światłu głowę i osłaniając ręką twarz, bo krowa chlastała ogonem, oganiając się od much.

– Ale... bom to winowaty... ale... borowy mię wygnał i jeszcze chciał kijem sprać, inom uciekł... a granula zarno<sup>33</sup> się jęła pokładać, a porykiwać, a stękać, zem do chałupy przygnał...

Zamilkł, ale słychać było ciche, bolesne chlapanie i siurkanie nosem.

– Witek... a nie bucz kiej ciebie, bo ci to pierwszyzna, że cię ociec spiera?...

– Juści, że nie pierwszyzna, ale zawdy tak się bojam... bo nijakiej wytrzymałości na bicie nie mam...

– Głupiś, parobek tyli, a boja się... już ja przełożę tatusiowi...

– Przełożysz, Józia? – zawołał radośnie – bo to borowy mię wygnał z krowami, bo...

– Przełożę, Witek, ino się już nie bojam!...

– Kiej tak... to naści tego ptaka! – szepnął z radością i wyjął z zanadru drewniane cudło. – Obacz ino, jak się sam rucha.

---

<sup>31</sup> zesuć – zsunąć. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> cebratka – wiaderko (zdrobn. od cebro). [przypis edytorski]

<sup>33</sup> zarno – zaraz, od razu. [przypis edytorski]

Postawił go na progu obory, nakręcił, i ptak zaczął się kiwać, podnosić nogi długie i spacerować...

– Bociek, Jezu a dyć się rucha kiej żywy! – zawołała zdumiona, odstawiła szkopek<sup>34</sup>, przykucnęła przed progiem i z najwyższą radością i zdumieniem patrzyła.

– Jezu! to z ciebie mechanik! I to się sam tak rucha, co?

– A sam, Józia, ino go kołeczkiem nakręcę, to już se spaceruje kiej dziedzic po obiedzie – o... – odwrócił go, i ptak poważnie a śmiesznie zarazem podnosił długą szyję, podnosił nogi i szedł.

Zaczęli się śmiać serdecznie i bawić się jego ruchami, tylko Józia czasami podnosiła oczy na chłopaka – podziw w nich był a zdumienie.

– Józia! – rozległ się głos Boryny sprzed chałupy.

– A czegoś?... – odkrzyknęła.

– Chodzi ino.

– Kiej dojem krowy.

– Pilnuj tu, bo idę do wójta – powiedział, wsadzając głowę do ciemnej obory – nie ma tutaj tego znajdka, co?

– Witka?... ni, pojechał po ziemniaki z Antkiem, bo Kuba miał urządzić sieczki dla koni... – odpowiedziała prędko i trochę niespokojnie, bo Witek przycupnął za nią ze strachu.

– Ścierwa ten chłopak, to ino pasy drzeć, żeby zmarnować taką krowę – mrucał powracając do izby, gdzie się odział w nową kapotę białą, wyszywaną na wszystkich szwach czarnymi tasiemkami, nadział wysoki czarny kapelusz, okręcił się czerwonym pasem i poszedł drogą nad stawem ku młynowi.

– Roboty jeszcze tyła... zwózka drzewa... siew nie skończony... kapusta w polu... ściółka nie wygrabiona... podorać by trza na kartofle... dobrze by i pod owszy... a tu jedź na sądy... Laboga, że to człek nigdy obrobić się nie obrobi, ino ciągiem jak ten wół w jarzmie... że i wypać się nie ma czasu ni odpocząć... – rozmyślał. – A tu i ten sąd... Tłumok ścierwa, hale, ja z nią siałem... żebyś oźór straciła... lakudro jakaś... suka... – splunął ze złością, nabił fajeczkę machorką<sup>35</sup> i długo pocierał zwilgotniałe zapałki o portki, nim zapalił.

Pykał od czasu do czasu i włókł się wolno; bolały go wszystkie kości i żale za krową raz wraz go markociły i rozbierały.

A tu ani odbić się na kim, ani wyzalić, nic... sam jak ten kołek; sam o wszystkim myśl, sam deliberuj łbem, sam kiele wszystkiego obiegaj kiej ten pies... a do nikogój słowa przemówić i rady znikąd ni pomocy – a ino strata i upadek... a wszystkie to kiej te wilki za owcą... a ino skubią, a patrzą, kiedy ozerwą w kawały...

Ciemnawo już było we wsi, przez przywierane drzwi i okna, że to wieczór był ciepły, buchały smugi ognisk i zapach gotowanych ziemniaków i żuru ze skwarkami; gdzieniegdzie jedli w sieniach albo i zgoła przed domami, że ino skrzybot łyżek słychać było a pogadywania.

Boryna szedł coraz wolniej, bo ocieężało go rozdrażnienie, a potem przypomnienie nieboszczki, co ją na zwieszę był pochował, ułapiło go za grdykę...

– Ho! ho!... przy niej, co ją wspominam wieczorem w dobry sposób, nie przygodziłoby się tak granuli... gospodyni to była, gospodyni!... Juści, że i mamrot, i przeklętnica też, że i dobrego słowa nikomu dać nie dała i ciągiem się z babami za łby wodziła... ale zawždy żona i gospodyni! – Tu westchnął pobożnie na jej intencję, i żal go jeszcze większy dusił, bo przypominał, jak to bywało...

Przyszedł z roboty, spracowany – to i jeść tłusto dała, i często gęsto kiełbasy podtykała kryjomo przed dzieciskami... A jak się wszystko darzyło!... i cielaki, i gąski, i prosiaki... że co jarmarek było z czym jeździć do miasta, i grosz był zawsze gotowy, na zakład z samego przychówku... A już co kapusty z grochem, to już jensza zgoła tak nie potrafi...

---

<sup>34</sup> *szkopek* lub: *skopek* – naczynie, kubek, kubełek. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *machorka* – tytoń kiepskiej jakości. [przypis edytorski]

A teraz co?...

Antek ino na swoją stronę ciągnie, kowal też wypatruje, aby co chyć, a Józka? Skrzat głupi, któremu plewy jeszcze we łbie, co i nie dziwota, bo dzieusze mało co na dziesiąty rok idzie... Hanka kiej ta ćma łązi, a choruje jeno, i tyle robi, co ten pies zapłacze...

Toć i marnieje wszystko... granule trza było dorznąć... we żniwa wieprzak zdechł... wrony gąski tak przebrały, że z połowa ostała!... Tyle marnacji, tyle upadku!... Przez sito wszystko leci, przez sito...

– Ale nie dam! – wykrzyknął prawie głośno – póki rucham tymi kulasami, to ani jednej morgi nie odpiszę i do waju<sup>36</sup> na wycug<sup>37</sup> nie pójdę...

Ino Grzela z wojska do dom powróci, to niechta se Antek na żoniną gospodarkę wróci... nie dam...

– Niech będzie pochwalony! – zabrzmiał jakiś głos.

– Na wieki!... – odrzucił machinalnie i skręcił z drogi w szerokie i długie opłotki, bo wójtowa osada leżała trochę w głębi.

W oknach się świeciło i pieski ujadać poczęły.

Wszedł prosto do świetlicy.

– Wójt doma? – zapytał tłustej kobiety, klęczącej przy kołysce i karmiącej dziecko.

– Zarno wróć, pojechał po ziemniaki. Siadajcie, Macieju, a dyć i ci też czekają na niego – wskazała ruchem brody na dziada siedzącego przy kominie; był to ten stary ślepiec, wodzony przez psa; czerwone światło szczap ostro opływało jego ogromną, wygoloną twarz, łysą czaszkę i szeroko otwarte oczy, zasnutę bielmem, nieruchomo tkwiące pod siwymi, krzaczastymi brwiami...

– Skąd to Pan Bóg prowadzi? – zapytał Boryna, siadając po drugiej stronie ognia.

– Ze świata, a skądże by, gospodarzu? – odpowiadał wolno rozlazłym, jęczącym, iście proszalnym głosem i nadstawiał pilnie uszów, a wyciągnął tabakierkę.

– Zażyjcie, gospodarzu.

Maciej zażył rzetelnie i kichnął raz po raz trzy razy, aż mu łzy w oczach stanęły.

– Tęga jucha! – i rękawem tarł zażawione oczy.

– Niech wam będzie na zdrowie. Peterburka, dobrze ano robi na oczy.

– Wstąpcie jutro do mnie, krowem dorznął, to się tam jaka sztuczka la was znaleźć znajdzie.

– Bóg zapłać... Boryna, widzi mi się, co?... —

– A juści, żeście to rozeznali?... no, no.

– Po głosie ino, po gadaniu.

– Cóż ta we świecie słyhać? Wędrujecie ciągiem?

– Moiściewy, a cóż by! – A to źle, a to i dobrze, a to i różnie, jak we świecie. A wszyscy piszcza, a narzekają, jak przyjdzie dziadowi co dać abo i drugiemu, ale na gorzałę mają.

– Prawdę rzekliście, bo ano tak i jest.

– Ho, ho! tyle roków się człek telepie po tej świętej ziemi, to się i wie różnie.

– A gdzieście to podzieli tego znajdę, co was prowadzał łoni? – zapytała wójtowa.

– Poszedł se ścierwa, poszedł, wyłuskał on mi dobrze torbeczki... Miałem coś grosza od ludzi ochfiarnych, com go niósł na wotywy do Częstochowskiej Paniienki, to mi jucha podebrał i poszedł we świat! Cichoj, Burek! bo to pewnikiem wójt! – pociągnął sznurkiem i pies warczeć przestał.

Zgadł, bo wójt wszedł, bat rzucił w kąt i od progu wołał:

– Żono, jeść, bom głodny kiej wilk – jak się macie, Macieju; a wy czego, dziadu?...

– Ja do was, Pietrze, wedle tej mojej sprawy, co ma być jutro.

---

<sup>36</sup> do waju (gwar.) – do was. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> wycug – dożywotnie utrzymanie, jakie powinny zapewnić dzieci rodzicom, po przepisaniu przez nich majątku na dzieci. [przypis edytorski]

– Ja zaś se poczekam, panie wójcie. Każecie w sieniach – dobrze i tam będzie, a ostawicie przy ogniu, że to stary jestem, ostaną, a dacie tę miseczkę ziemniaków albo i chleba skibkę, to pacierz za was zmówię jeden albo i drugi... jakbyście dali gotowy grosz albo i dziesiątkę...

– Siedźcie se, dostaniecie i kolację, a chcecie, to zanocujcie...

I wójt siadł do miski, okrytej parą świeżo utłuczonych ziemniaków i polanych obficie skwarkami, w drugiej donicy stało zsiadłe mleko.

– Siadajcie, Macieju, z nami, zjecie, co jest – zapraszała wójtowa, kładąc trzecią łyżkę.

– Bóg zapłać. Przyjechałem z boru, tom se już dobrze podjadł...

– Bierzcie się ano za łyżkę, nie zaszkodzi wam, teraz już wieczory długie...

– Długi pacierz i duża miska, jeszcze bez to niktoj nie pomarł – rzucił dziad.

Boryna wzdrygał się, ale w końcu, że słonina mocno razila mu nozdrza, przysiadł się do ławki i pojadał z wolna, delikatnie, jak obyczaj kazał.

A wójtowa raz wraz wstawiała i dokładała kartofli, to mleka przylewała.

Dziadowski pies się kręcił i skamlał zdziebko do jadła.

– Cichoj, Burek, gospodarze ano jedzą... i ty dostaniesz, nie bój się... – uspokajał go dziad i wciągał nozdrzami smakowitą woń, a przygrzewał ręce przy ogniu.

– To Jewka was podobno zaskarżyła – zaczął wójt, podjadłszy nieco.

– A ona ci! Żem to jej zasług nie wypłacił! Zapłaciłem, jak Bóg w niebie, i jeszcze ponadto z dobrego serca księdzu za chrzciny dał worek owsa...

– Ona powie, że ten dzieciak to...

– W imię Ojca i Syna! Wściekła się czy co?

– Ho, ho, stary z was, a jeszcze majster! – Wójtowie poczęli się śmiać.

– Staremu prędzej się przytrafi, bo praktyk ci jest i znający! – szeptał dziad.

– Cygani jak ten pies, anim ją tknął. Jeszcze by, taki tłumok... taka pode płótem zdychała, a skamlała, coby ją za samą warzę a kąt do spania wziąć, bo na zimę szło. Nie chciałem, ale nieboszka pedo<sup>38</sup>: „Weźmiem, przyda się w domu, co mamy przynajmować? będzie swoja pod ręką...” Nie chciałem ja, jako że zimą roboty nijakiej, a jedna gęba więcej do miski. Ale nieboszka pedo: „Nie turbuj się, umie pono wełniaki i płótno tkać, zasadzę ją i niechta se ścibie, zawsze coś uścibie.” No i ostała, odpasła się ino i zarno się postarała o przychówek<sup>39</sup>... A kto w spółce, to już różnie gadali...

– Ona skarży na was.

– Zakatrupię ścierwę, cygana pieskiego!

– Ale do sądu trza wam iść.

– Pójdę. Bóg zapłać, żeście mi powiedzieli, bo wiedziałem ino, że o zasługi – ale zapłaciłem, na co świadków mam! A pyskacz zapowietrzony, a dziadówka! Loboga, tyle umartwienia, że jaż chyba udziżyć nie udziżę – a to mi i krowa padła, że dorznąć musiałem, roboty nie pokończone, a tu człowiek sam kiej ten palec.

– U wdowca to kiej między wilkami owca – powiedział znowu dziad.

– O krowiem słyszał, mówili mi już na polu...

– To dworska sprawa, bo pono borowy wygnał z zagajów. Najlepsza krowa! Ze trzysta złotych wartała, zegnała się, bo ciężka była, zapaliły się w niej wątpia, żem dorznąć musiał... Ale dworowi tego nie daruję... Podam do sądu.

Ale wójt zaczął mu tłumaczyć i przekładać, żeby się wstrzymał, jako w pierwszej złości zawsze się źle radzi, bo stał za dworem, a w końcu, żeby zwrócić rozmowę w inną stronę, mrugnął na żonę i powiedział:

– Bobyście się, Macieju, ożenili i miałby kto gospodarstwa pilnować.

---

<sup>38</sup> *pedo* – powie. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *przychówek* – potomstwo. [przypis edytorski]

– Kpicie czy co?... A dyć na Zielną skończyłem pięćdziesiąt i osiem roków. Co wama też w głowie, jeszcze tamta dobrze nie ostygła...

– Weźcie kobitę do swego wieku, a zaraz się wam zgoi wszystko – dodała wójtowa i jęła sprzątać ze stołu.

– Dobra żona głowy mężowej korona – dorzucił dziad, obmacując miski, które przed nim postawiła wójtowa.

Żachnął się Boryna, ale zamedytował głęboko, że mu to samemu do głowy nie przyszło. Boć jaka się tam kobieta nadarzy, a zawždy z nią lepiej niżli samemu biedować...

– Która i głupia jest, i niemrawa, która znów kłótnica, która do chłopskich kołtunów sięgająca, która paparuch a latawiec po muzykach i karczmach, a zawždy chłopu z nią lepiej i wygodna – ciągnął dziad, pojadając.

– Dopiero by na wsi wydziwiali – powiedział Boryna.

– Hale – ludzie wama zwrócą krowę albo i co poradzą, albo i kiele gospodarstwa chodzić będą, albo się nad wami użalą – zagadała gorąco wójtowa.

– Albo i ciepłą pierzynę narządzą – zaśmiał się wójt. – A we wsi tyle jest dziewczuch, że jak się idzie między chałupami, to bucha kiej z pieca.

– Ale, widzisz go, rozpustnik... czego mu się zachciewa...

– A Zośka Grzegorzowa na ten przykład, śmigła, piękna i wiano niezgorsze.

– A cóż to Maciejowi potrza wiana, nie gospodarz to pierwszy we wsi?

– Kto by ta miał dobra a i grontu dosyć – zaoponował dziad.

– Ni Grzegorzowa nie la nich – podjął wójt – za mdła i młódka to jeszcze.

– A Jędrkowa Kasia? – wyliczała dalej wójtowa.

– Zmówiona. Wczoraj Rochów Adam posyłał z wódką.

– Jest ci jeszcze Stachowa Weronka.

– Mamrot, latawiec i jedno biedro ma grubsze.

– A wdowa po Tomku, jakże to jej?... całkiem jeszcze do żeniaczki...

– Troje dzieci, cztery morgi, dwa krowie ogony i stary kozuch po nieboszczyku.

– A Ulisia tego Wojtka, co to za kościołem siedzi?...

– I... to la kawalera... z przychówkiem, chłopak mógłby już być do pasionki, ale Maciejowi tego nie potrza, ma już pastucha swojego.

– Jest ci jeszcze, jest tego nasienia pannowego, ale ino wybieram takie, co by pasowały la Macieja.

– A zabaczyłaś<sup>40</sup> o jednej, co by była la nich w sam raz.

– Którna?...

– A Jagna Dominikowa?

– Prawda, całkiem o niej przepomniałam.

– Sielna dziewczucha, a rosła, że bez płot nie przejdzie, bo żerdki pod nią pękają... a piękna, biała na gębie, a urodna kiej jałowica.

– Jagna – powtórzył Boryna słuchający w milczeniu wyliczania – a to powiedają o niej, że łąsa na chłopaków.

– Ale, był to kto przy tym, to wie! Pleciuchy pletą, byle pleść, a wszystko ino przez zazdrość – broniła mocno wójtowa.

– Ja też nie powiedam sam z siebie, ino tak pogadują. Ale trza mi iść – poprawił pasa, wraził węgielek we fajkę i pyknął parę razy.

– Na którą to w sądzie? – zapytał spokojnie.

– Na dziewiątą napisane w powiestce. Musicie do dnia wstać, jeśli na piechty.

---

<sup>40</sup> zabaczyć – zapomnieć. [przypis edytorski]

– I... żróbką se wolno pojadę. Ostańcie z Bogiem, dziękuję wama za pożywienie i somsiadzką radę.

– Idźcie z Bogiem, a pomyślcie, cośwa wama raili<sup>41</sup>... Powiecie, to z wódką pójde do pani matki i jeszcze przed Godami sprawim wesele...

Boryna nie odrzekł nic, łypnął ino oczami i wyszedł.

– Jak stary młódkę bierze, diabeł się cieszy, bo profit z tego miał będzie – rzekł dziad poważnie, skrobiąc głośno po dnie miski.

Boryna wolno wracał i żuł w sobie rozważnie, co mu raili. Nie dał poznać po sobie tam u wójtów, że mu się ta myśl strasznie udała<sup>42</sup>, bo jakże, gospodarz był, a nie żaden chłopak, co to ma jeszcze mleko pod nosem, a na wspominek o żeniaczce aże kwiczy i z nogi na nogę przedeptuje.

Noc już ogarnęła ziemię, gwiazdy srebrną rosą pobłyskiwały z ciemnych, głuchych głębin, cicho było we wsi, psy tylko niekiedy poszczekiwały, a tu i owdzie spoza drzew mżyły się słabe światełka... czasem wilgotny podmuch zawiął z łąk, że drzewa poczęły się lekko chybotać i z cicha poszmerywać listkami.

Boryna nie wrócił drogą, jaką był przyszedł, a tylko puścił się w dół, przeszedł most, pod którym woda z bełkotem przelewała się do rzeki i waliła głucho na młyn, i nawrócił na drugą stronę stawu – wody leżały ciche i lśniły się czarniawo, pobrzeżne drzewa rzucały na tafle czarne cienie i jakby ramą obejmowały brzegi, a w pośrodku stawu, gdzie jaśniej było, odbijały się gwiazdy niby w zwierciadle stalowym.

Maciej sam nie wiedział, dlaczego nie poszedł prosto do domu, a wybrał dłuższą drogę, może aby przejść koło domu Jagny? a może aby zebrać nieco myśli i pomedytować.

– Juści, że byłoby niezgorzej! juści! A co tam o niej mówią, to taka prawda. – Splunął. – Sielna kobieta! – Dreszcz nim wstrząsnął, bo i chłód wilgotny szedł od stawów, a u wójtów gorąc był silny.

– A bez kobiety trza zmarnieć abo dzieciom gospodarkę odpisać – myślał – a duża jucha i kiej malowana. – A krowa najlepsza padła, a kto wie jutra?... Może to i trza poszukać żony? Tyle obleczenia<sup>43</sup> po nieboszce jest – przygodziłoby się. Ale stara Dominikowa to pies... a cóż, mają chałupę i gront, to by na swoim ostała. Troje ich, a mają piętnaście morgów, to niby na Jagnę pięć i splata za chałupę i lewentarz<sup>44</sup>! Pięć morgów to rychtyk te pola za mojem kartofliskiem, żyto, widzi mi się, posiały latoś, tak... Pięć morgów do moich to... trzydzieści i pięć bez mała! Karwas pola!...

Zatarł ręce i poprawił pasa. – To ino młynarz ma więcej... złodziej, krzywda ludzką a precentami, a oszukaństwem tyła nabrał... A na bezrok podwiózłbym gnoju, a uprawił i pszenicy posiał na całym kawale; konia by trzeba przykupić, a i po granuli krowinę jaką... Prawda, krowę by dostać dostała...

I tak rozmyślał, liczył, rozmarzał się gospodarsko, aż czasem i przystawał z ciężkiej deliberacji. A że mądry chłop był, to wszystko zasię zbierał w sobie i głęboko w głowę patrzył, coby czego nie prześlepić i nie przepomnieć.

– Wrzeszczałyby juchy, wrzeszczały! – pomyślał o dzieciach, ale wnet fala mocy i pewności zalała mu serce i skrzepiła głuche jeszcze, wahające postanowienia.

– Gront mój, wara komu drugiemu do niego. A nie chceta, to... – nie skończył, bo stanął przed chałupą Jagny.

Świeciło się u nich jeszcze i przez otwarte okno padała szeroka smuga światła i szła przez kierz georginiowy i niskie drzewa śliwkowe aż na płot i drogę.

Boryna stanął w cieniu i zapuścił wzrok w izbę.

---

<sup>41</sup> *cośwa wama raili* – cośmy wam raili; *raić* – polecać, rekomendować, swatać. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *udała mu się* – spodobała. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *obleczenie* – ubranie. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *lewentarz* – inwentarz; zwierzęta w gospodarstwie wiejskim. [przypis edytorski]

Lampka tliła się nad okapem, ale w kominie musiał się buzować tęgi ogień, bo słyhać było trzask świerczyny i czerwonawe światło zapełniało ogromną, mroczną po kątach izbę; stara, skulona przed kominem, czytała cosik głośno, a Jagna przeciw niej twarzą do okna siedziała; w koszuli była tylko i z podwiniętymi do ramion rękawami – podskubywała gęś.

– Urodna jucha, to urodna! – myślał.

Podnosiła czasem głowę, nasłuchiwała matki, wzdychała ciężko, to znowu brała się skubać pióra, aż gęś zagegała boleśnie i rwać się poczęła z krzykiem z jej rąk, i bić skrzydłami, że puch się rozwiął po izbie białym tumanem. Uspokoila ją rychło i mocno ścisnęła kolanami, że gęś jeno pogęgiwała z cicha a boleśnie, i odpowiadały jej inne gdzieś z sieni czy z podwórza.

– Piękna kobieta – pomyślał i odszedł spieszenie, bo mu uderzyło do głowy, aż się podrapał, zapiął pętlę i pasa przyciągnął.

Już był w swoich wrotach i wchodził w opłotki, gdy się obejrzał na jej dom, bo rychtyk stał naprzeciw, tyło że po tamtej stronie wody. Ktoś akuratnie wychodził, bo przez drzwi uchylone lunęła struga światła i jak błyskawica zamigotała i padła aż na staw, potem czyjeś mocne stąpania zadudniły, i rozległ się chłupot wody nabieranej, a w końcu wskroś ciemni i mgieł, co się były zwlekały z łąk, śpiew się ozwał przyciszony:

Ja za wodą, ty za wodą,  
Jakże ja ci buzi podom?...  
Podam ci ją na listeczku,  
A naścize, kochaneczku...

Słuchał długo, ale głos rychło przepadł i światła wkrótce pogasły.

Na niebo wtaczał się zza lasów księżyc w pełni i rozsrebrzał czuby drzew, i siał przez gałęzie światło na staw, i zaglądał w okna chat, co mu były naprzeciw. Psi nawet pomilkli, cichość niezgłębiona objęła wieś całą i stworzenie wszelkie.

Boryna obszedł podwórze, zajrzał do koni, parskały i gryzły obroki; wsadził głowę do obory, bo drzwi dla gorąca stały otworem. Krowy leżały przeżuując a postęgując, jako to jest zwyczajnie u bydłatek. Przywarł wrota do stodoły.

Zdjąwszy kapelusz, szedł do izby i mówił półgłosem pacierz.

A że spali już wszyscy, rozżuł się po cichu i zaraz legł spać.

Ale zasnąć nie mógł, to pierzyna go parzyła, że nogi spod niej wysuwał, to mu po głowie chodziły sprawy różne, a turbacje, a pomyslenia... to mu brzuch ano ciężył srodze, że postękiwał i mrucał.

– Zawszy mówię, że zsiadłe mleko ino rozpiera brzuch, coby na noc nie dawać...

A potem jął myśleć o Jagnie; jak by to dobrze było, bo i urodna, i gospodarna, i tyle pola... To znowu przypominał sobie dzieci, to te gadania na Jagnę, że mąciło się w nim wszelakie rozeznanie, i już nie wiedział, co począć, że uniósł się nieco, i jak to było zwyczajnie, chciało mu się do drugiego łóżka zawołać i poradzić:

– Maryś! Żenić się czy to się nie żenić z Jagną?...

Ale w czas sobie przypominał, że Maryś już od zwiesny na cmentarzu, a tam se śpi Józka i chrapie, a on jest sierotą, która poradzić się nikogo nie ma; to ino westchnął ciężko, przeżegnał się i jął mówić zdrowaśki za nieboszczkę i wszystkie dusze w czyścju ostające.

### III

Już świt ubielił dachy i zgrzebną, szarą płachtą przysłonił noc i gwiazdy pobladłe, gdy ruch się uczynił w Borynowym obejściu.

Kuba zwłókł się z wyrka i wyrzał przed stajnię – szron leżał na ziemi i szaro było jeszcze, ale już zorze rozpałały się na wschodniej stronie i czerwieniły czuby drzew oszroniałych – przeciągnął się z lubością, ziewnął parę razy i poszedł do obory, aby krzyknąć na Witka, że czas wstawać, ale chłopak uniósł nieco senną głowę i szepnął:

– Zaraz, Kuba, zaraz! – i przytulił się do legowiska.

– Pośpij se dziecko, biedoto, pośpij! – Przyokrył go kozuchem i pokuszykał, bo że nogę miał kiedyś przestrzeloną w kolanie, kulał srodze i ciągnął ją za sobą; umył się pod studnią, przygładził dłonią rzadkie, wyleniałe włosy, co mu się były pozwijają w kołtuny, i klęknął na progu stajni odmawiać pacierze.

Gospodarz spali jeszcze, w oknach chałupy zapalały się krwawe brzaski zórz, a gęste, białe mgły zwlekały się z wolna ze stawów, kołysały ciężko i posuwały w górę podartymi szmatami.

Kuba przesuwiał w palcach koronkę i modlił się długo, a biegał oczami po podwórzu, po oknach chałupy, po sadzie omroczonym jeszcze na dole, po jabłonkach, obwieszonych jabłkami niby pięście; rzucił czymś do budy, co stała zaraz koło drzwi, w biały łeb Łapy, aż pies zawarczał, zwinął się i spał dalej.

– Ale, do samego słońca spał będziesz, jucho! – i rzucił w niego raz, drugi, że pies wylał, przeciągał się, ziewał, machał ogonem, przysiadł w podle i jął się drapać i czynić zębami w gęstych kudłach porządek.

...I ochfiaruję ten pacierz Tobie i wszystkim świętym. Amen! – Bił się długo w piersi, a powstając, rzekł do Łapy:

– Hale! aligant jucha, wybiera se pchły kiej baba na wesele!

A że robotny był, to się zajął obrządkiem – wóz wytoczył ze stodoły i nasmarował, napoił konie i przyłożył im siana, aż parskać zaczęły i bić kopytami, a potem przyniósł z sąsiedka nieco zgonin, dobrze okraszonych owsem, i wyspał to klaczy do żłobu, bo stała w gródce, osobno.

– Żrej, stara, żrej; żróbka mieć będziesz, to ci mocy trza, żrej! – Pogładził ją po nozdrzach, aż klacz położyła mu łeb na ramieniu i pieszczotliwie chwyciła wargami za kołtuny.

– ...Ziemniaki do południa zwieziemy, a pod wieczór do lasu, po ściółkę – nie bój się, ściółka letka, nie zgonię cię...

– A ty, wałkoniu, batem dostaniesz, widzisz go, owies mu pachnie, próżniakowi – mówił do wałacha, co stał obok i łeb wtykał między deski przegrody, do żłobu klaczy – grzmotnął go pięścią w zad, aż koń uskoczył w bok i zarżał.

– Hale, parob żydowski! Żreć to byś choć i czysty owies żarł, a do roboty cię nie ma, bez bata, jucho, z miejsca nie ruszysz, co?

Wyminął go i zajrzał do żróbki, co stała przy ścianie samej i już z daleka wyciągała do niego kasztanowaty łeb ze strzałką białą na czole i rżała cicho.

– Cichoj, mała, cichoj! Podjedz se ano, bo pojedziesz z gospodarzem do miasta! – Uwił kłak siana i wyczyścił jej bok zawalany. – Tyla klacz, że już do ogiera czas, a świniąś. Utytlesz się zawdy kiej maciora – pogadywał wciąż i poszedł do chlewów wypuścić świnię, bo kwiczały, a Łapa chodził za nim i zaglądał mu w oczy.

– Zjadłbyś i ty, co? To naści–że chlebaszka, naści! – Wyjął zza pazuchy kawałek i rzucił, pies pochwycił i schował się do budy, bo świnię ano leciały mu wydrzeć.

– Hale, te swynie to kiej człowiek niektóry, aby ino chycić cudze i zechlać...

Zajrzał do stodoły i długo patrzył na wiszącą u belki krowę.

– Głupie to jeno bydle, a i temu na koniec przyszło. Widzi mi się, co jutro zgotują mięsa... Tyle i z ciebie, biedoto, że człek se podje w niedzielę...

Westchnął do tego jadła i powlókł się budzić Witka...

– Słońce ino, ino – zarno się pokaże... Krowy trza wypędzać.

Witek mamrotał coś, bronił się, przykładał do kozucha, ale w końcu wstać wstał i łąził ociężały i senny po podwórzu.

Gospodarz zaspali dzisiaj, bo słońce już weszło i rozczzerwieniło szrony, i zapaliło łuny w wodach i szybach, a z chałupy nikt się nie pokazywał...

Witek siedział na progu obory i podrapывał się zajadle, i przeziwał, a że wróble poczęły zlatywać z dachów do studni i trzepać się w korycie, to przyniósł drabkę<sup>45</sup> i wlał pod okap zajrzeć do gniazd jaskółczych, bo cicho tam jakoś było.

– Pomarżły czy co?

I jął wyciągać delikatnie pomorzone ptaszki i kłaść je za pazuchę.

– Kuba, wiecie, nie żyją, o! – Pobiegnął do parobka i pokazywał sztywne, pogasłe jaskółki.

Ale Kuba wziął ino w rękę, przyłożył do ucha, dmuchnął w oczy i rzekł:

– Zdrętwiały, bo przymrozek galanty<sup>46</sup>. Ale że to głupie nie poszły jeszcze do ciepłych krajów, no, no... – I poszedł do swojej roboty.

A Witek siadł pod chałupą, w szczycie, bo słońce już tam dochodziło i oblewało bielone ściany, po których i muchy łązić poczynąły; wyciągał zza koszuli te, które już ogrzane nieco jego ciałem, gmerały się trochę, chuchał na nie, rozdziawiał im dziobki, poił z ust własnych, aż ożywiały się, otwierały oczy i poczynąły wydzierać się do ucieczki; wtedy prawą ręką czaił się po ścianie i raz wraz zagarnął jaką muchę, nakarmił nią i puszczał.

– Lećta se do matuli, lećta – szeptał, patrząc, jak jaskółki siadały na kalenicy obory, czesały się dziobkami i szczebiotały jakby dziękczynienia.

A Łapa siedział przed nim na zadzie i skomlał ucieszenie, a co który ptaszek wyfruwał, rzucał się za nim, biegł kilka kroków i zawracał z powrotem stróżować.

– Ale, złap wiater w polu – mruczał Witek i tak się zatopił w rozgrzewaniu jaskółek, że ani widział, kiedy Boryna wyszedł z za węgła i stanął przed nim.

– Ptazkami się, ścierwo, zabawiasz, co?

Porwał się, by uciekać, ale już gospodarz chycił go krótko za kark i drugą ręką szybko odpasywał szeroki, twardy pas rzemienny.

– A dyć nie bijcie, a dyć! – zdążył krzyknąć jeno.

– Takiś to pastuch, co? Tak to pilnujesz, co? Najlepsza krowa się zmarnowała, co?... Ty znajdku, ty pokrako warsiaska! Ty! – I bił zapamiętale, gdzie popadło, aż rzemień świszczwał, a chłopak wił się kiej piskorz i wrzeszczał:

– Nie bijta! Loboga! Zabije mię! Gospodarzu!... O Jezu, ratujta!...

Aż Hanka wyrzała z chałupy, co się dzieje, a Kuba splunął i schował się do stajni.

A Boryna łoił go rzetelnie, wybijał mu na skórze swoją stratę tak zajadle, że Witek miał już gębę posinioną i z nosa puściła mu się krew, krzyczał wniebogłoso i cudem jakimś się wyrwał, chwycił się obu rękami z tyłu za portki i gnał w opłotki.

– Jezu, zabili mę, zabili mę! – ryczał i tak pędził, aż mu reszta jaskółek wylatywała z za pazuchy i rozsypywała się po drodze.

Boryna pogroził jeszcze za nim, opasał się i wrócił do chałupy, i zajrzał na Antkową stronę.

– Słońce już na dwa chłopa, a ty się jeszcze wylegujesz! – krzyknął na syna.

– Zmogłem się wczoraj kiej bydlę, to muszę się wywczasować.

---

<sup>45</sup> *drabka* – drabinka. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *galanty* – porządny. [przypis edytorski]

– Do sądu pojedę... Zwieź ziemniaki, a jak ludzie skończą kopanie, to zagnać je do grabienia ściółki, a ty mógłbyś kołki pozabijać do ogacenia<sup>47</sup>.

– Ogaćcie se sami chałupę, nama tutaj nie wieje.

– Rzekłeś... to swoją stronę ogacę, a ty marznij, kiejś wałkoń.

Trzasnął drzwiami i poszedł na swoją stronę.

Józka już rozpałała ogień i szła doić krowy.

– Rychło daj jeść, bo trza mi jechać...

– Przecięch się nie ozedrę, dwóch robót razem nie poradzę – i poszła.

– Spokojnego oczymgnienia nie ma, ino kłyżnij się<sup>48</sup> ze wszystkimi! – myślał i wziął się do obleczenia, ale zły był i zgryziony. Jakże, ciągła wojna z synem, słowa nie można rzec, bo zaraz do oczów z pazurami skacze albo rzeknie coś, co jaże we wąpiach poczujesz. Na nikogo się spuścić, ino haruj i haruj!

Złość w nim zbierała, aż poklinał z cicha i rzucał szmatami po izbie a butami.

– Słuchać się powinny, a nie słuchają! Czemu to? – myślał.

– Widzi mi się, co bez kijaszka z nimi obyc się nie obędzie, bez twardego! Dawno się im to należało, zaraz po śmierci nieboszczki, kiej kłyżnić się zaczęły o gronta, ale się jeszcze wagował<sup>49</sup>, żeby zgorzenia we wsi nie czynić. Gospodarz był przeciech nie leda jaki, na trzydziestu morgach, i z rodu nie bele chto – Boryna, wiadomo. Ale dobrością z nimi się nie skończy, nie!... – Tu przyszedł mu na myśl zieć, kowal, którego wszystkich po cichu burzył, a i sam wciąż nastawał, żeby mu sześć morgów odpisać i morgę lasu, a już na resztę chciał poczekać...

– To niby kiej zamrę! Poczekać, jucho, poczekać – myślał ze złością. – Póki się ino rucham, nie powąchasz ty ani zagona! Widzisz go, mądrała!

Kartofle już mocno perkotały w kominie, gdy Józka przyszła od udoju i wnetki narządziła śniadanie.

– Józka! A mięso sama przedawaj. Jutro niedziela, ludzie się już zwiedziały, to się ich tu naleci; ino nie borguj<sup>50</sup> nikomu. Pośladek ostaw la nas; zawoła się Jambroza, to zasoli i przyprawi...

– A dyć i kowal umiejają...

– Ale, podzieliłby się kiej wilk z owcą.

– Magdzie będzie markotno, że to nasza krowa, a ona nawet nie obaczy.

– To la Magdy wytnij jaką sztuczkę i zanieś, ale kowala nie wołaj.

– Dobryście, tatulu, dobry.

– Hale, córuchno, hale! Pilnuj tutaj, a już ci bułeczkę przywiezę abo i co.

Podjadł se niezgorzej, opasał się pasem, przyglądał poślinioną dłonią zwichrzone i rzadkie włosy, ujął bat i jeszcze się rozglądał po izbie...

– Bym czego nie przepomniał. – Chciało mu się zajrzeć do komory, ale się powstrzymał, bo Józka patrzyła, więc się przeżegnał i ruszył.

A już z wasąga, zbierając w garść parciane lejce, rzekł Józce na ganek:

– Skończą ziemniaki, to zaraz iść grabić ściółkę, kwitek jest za obrazem. A niechta zetną jakiego grabka albo i chojkę – przyda się.

Wóz ruszył i już był w opłotkach, gdy Witek mignął pod jabłoniemi.

– Zahaczyłem... prru... Witek! Prru! Witek, puść krowy na łąki, a pilnuj, bo cię, jucho, spierę, że popamiętasz!

– Ale, pocałujta mę gdzieś... – odrzyknął hardo znikając za stodołą.

– Będziesz tu pyskował, jak zleżę, to obaczysz...

---

<sup>47</sup> *ogacenie* – ocieplenie. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *kłyżnić się* – kłócić się. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *wagował* – wahał. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *borgować* – dawać na kredyt. [przypis edytorski]

Skreślił z opłotków na lewo, na drogę wiodącą ku kościołowi; podciął batem żróbkę, że podyrdała truchcikiem po wyboistej, pełnej kamieni drodze.

Słońce było już chyła tyła nad chałupami i świeciło coraz cieplej, bo z oszroniałych strzech podnosiły się opary i woda skapywała, tylko w cieniach – pod płotami w sadach, po rowach, leżał jeszcze siwy mróz; po stawie wlekły się ostatnie zrzędlę mgły i woda poczyniała spod bielm wrzeć brzaskami i odbłyскиwać słońce.

We wsi poczynął się już zwykły ruch: poranek był jasny i chłodny, a że zaś przymrozek orzeźwił powietrze, to i raźniej się poruszali, i zgiełkliwiej; wychodzili gromadnie na pola, którzy do kopania szli z motyczkami a koszykami na ręku, dojadając śniadań; którzy z pługiem ciągnęli na ścierniska; którzy na wozach brony wieźli a worki pełne ziarna siewnego; którzy znów zasię wykręcali ku lasom z grabiami na ramionach, ściółkę grabić – że ino dudniło po obu stronach stawu i krzyk się wzmagął, bo drogi były zatłoczone bydłem ciągnącym na paszę, szczekaniem psów, pokrzykami, co wybuchały raz wraz z niskiej, ciężkiej kurzawy, jaka się była wznosiła z orosiałych dróg.

Boryna wymijał trzody ostrożnie, czasem śmignął po wełnie jakie jagniątko głupie, co się nie usuwało przed żrebicą, to cielę jakie, aż i wyminął wszystkich i koło kościoła, który stał osłonięty potężnym wałem lip żółknących i klonów, wjechał na szeroki gościniec, obsadzony z obu stron ogromnymi topolami.

A że w kościele była msza święta, bo sygnaturka przedzwoniła ofiarę i huczały przyciszonym głosem organy, zdjął kapelusz i westchnął pobożnie.

Droga była pusta i zasłana opadłym liściem tak obficie, że wyboje i głęboko powyrzynane koleiny pokryły się rdzawozłocistym kobiercem, pociętym gęstymi pręgami cieniów, jakie rzucały pnie topoli, bo słońce z boku świeciło.

– Wio, maluśka, wio! – Świsnął batem i żrebica przez kilka stajañ poszła raźniej, ale potem opadła i wlekła się wolno, bo droga, choć nieznacznie, szła pod wzgórze, na których czerniały lasy.

Boryna, że go ta cisza mroczyła sennością, to poglądał przez kolumnadę topoli na pola, pławiące się w różowym, porankowym świetle, albo myśleć usiłował o sprawie z Jewką, to o granuli – ale nie mógł sobie dać rady, tak go śpi<sup>51</sup> morzył...

Ptaszki ćwierkały w gałęziach, to czasem wiatr przegarnął leciuchnymi palcami po czubach drzew, że ino jaki taki listeczek, kieby motyl złoty, odrywał się od maci, spadał kolisto na drogę abo i na zakurzone osty, co zaognionymi oczami kwiatów hardo patrzyły w słońce – a topole zagwarzyły, poszemrały z cicha gałązkami i pomilkły kiej te kumy, co na Podniesienie oczy podniesą, ręce rozłożą i westchną modlitewnie, a padną wnetki w proch przed Majestatem, ukrytym w tej złotej monstrancji, zawisłej nad ziemią świętą, nad rodzoną...

Dopiero pod lasem przecknął na dobre i wstrzymał konia.

– Wschodzi niezgorzej – szepnął, przyjrząwszy się pod światło szarym zagonom, ordzawionym krótką szczotką wschodzącego żyta.

– Kawał pola, a przyległo do mojego, kieby kto z umysłu narządził! Żyto, widzi mi się, wczoraj posiały. – Ogarnął pożądlivym spojrzeniem zbronowane zagony, westchnął i wjechał w las.

Poganiał często konia, bo droga szła po równym i twardsza była, tylko gęsto przerośnięta korzeniami, na których wóz podskakiwał i turkotał.

Ale już nie drzemał, owiany surowym i chłodnym dechem lasu.

Bór był ogromny, stary – stał zbitą gęstwą w majestacie wieku i siły, drzewo przy drzewie, sama sosna prawie, a często dąb rosochaty i siwy ze starości, a czasem brzozy w białych koszulach, z rozplecionymi warkoczami żółtymi, że to jesień już była. Podlejsze krze, jako leszczyna, to karłowata grabina, to osiczyna drżąca tuliły się do czerwonych, potężnych pni tak zwartych koronami i poplątanych gałęziami, że ino gdzieniegdzie przedzierało się słońce i pełzało niby złote pająki po mchach zielonych i paprociach zrudziałych.

---

<sup>51</sup> śpi<sup>k</sup> – sennosc. [przypis edytorski]

– Zawždy mojego tu są cztery morgi! – myślał i pożerał oczami las, i już na oko wybierał co najlepszy. – Przeciech Pan Jezus nie da nas ukrzywdzić – abo i same się nie damy, nie... Dworowi widzi się dużo, a nam mało. Zarno... moje ze cztery, a Jagusine z morga... cztery i jedna... Wio! głupia, sroków się będzie bojała! – Trzepnął ją batem, bo na suszce, co dźwigała Bożą Mękę, kłóciły się sroki tak zajadle, aż źrebica strzygła uszami i przystawała.

– Srokowe wesele – deszczu będzie wiele. – Przypiął parę batów źrebicy i jechał kłusem.

Dobrze było już po ósmej, bo ludzie na polach siadali do śniadaniowych dwojaków, gdy wjeżdżał do Tymowa, na puste uliczki, obstawione pozapadanymi domostwami, co przysiadły niby stare przekupki nad rynsztokami, pełnymi śmieci, kur, Żydział obdartych i nierogacizny.

Zaraz na wjeździe obstąpili go Żydzi i Żydówki i nuż zaglądać do wasagu, macać pod grochowinami, pod siedzeniem, czy nie wiezie czego na sprzedanie.

– Poszły, parchy! – mruknął, wjeżdżając na rynek, pod cień starych, poobdzieranych kasztanów, konających na środku placu, gdzie już stało kilkanaście wozów z wyprzęgniętymi końmi.

I swój wasąg tam umieścił, źrebicę wyłożył łbem do półkoszka, nasuł jej do kobiałki obroku, bat schował na dno, pod siedzenie, otrzepał się ze słomy i ruszył prosto do Mordki, tam gdzie błyszcząły trzy mosiężne talerze, aby się nieco przyogolić – wyszedł wkrótce czysto ostrugany i tylko z jednym zacięciem na brodzie, zalepionym papierem, przez który sączyła się krew.

Sądy nie były jeszcze zaczęte.

Ale przed domem sądowym, co stał zaraz w rynku, naprzeciw ogromnego poklasztornego kościoła, czekało już sporo narodu. Siedzieli na wydeptanych stopniach, to kupili się pod oknami i raz wraz zagląдали do środka, kobiety zaś przykucnęły pod bielonymi ścianami, opuściły czerwone zapaski z głów na ramiona i rajcowały.

Boryna, że dojrzał Jewkę z dzieckiem na ręku, stojącą w gromadzie swoich świadków, to się zeżlił zarno, jako że skory był do złości, splunął i wszedł do sieni drugiej, biegnącej na przestrzał sądowego domostwa.

Po lewej stronie był sąd, a po prawej mieszkał sekretarz, bo jakoż właśnie Jacek wyniósł samowar przed sam próg i tak go rozdmuchiwał cholewą zawzięcie, że dymił niby komin fabryczny, a co chwila ostry, gniewny głos krzyczał z głębi zadymionej sieni:

– Jacek! buciki panienkom!

– Zaraz, zaraz!

Samowar już niby wulkan huczał i buchał płomieniami.

– Jacek! wodę panu do mycia.

– Dyc zara, zrobi się wszystko, zrobi! – I spocony, nieprzytomny, ganiał po sieni, aż dudniło, powracał, dmuchał i znowu leciał, bo pani krzyczała:

– Jacek! kulfonie jeden, gdzie moje pończochy?!...

– Ale! ścierwa, nie samowar!

Trwało to wszystko dobrych parę pacierzy, abo i z koronkę, aż wreszcie drzwi sądowe się otwały i naród począł napełniać dużą, wybieloną izbę.

Jacek, już teraz jako woźny, boso, w modrych portkach i takimże lejniku z mosiężnymi guzikami, z czerwoną, spoconą twarzą, którą raz wraz obcierał rękawem, uwijał się za czarnymi kratami, dzielącymi izbę na dwie połowy, i rzucał łbem niby koń, kiej go giez ukąsi, bo płowe włosy spadały mu grzywą na oczy, to zaglądał ostrożnie do sąsiedniej stancji i potem siadał na chwilę pod zielonym piecem.

A narodu się nawaliło, że ani palca wetknąć, i parli się coraz krzepiej<sup>52</sup> na kraty, aż trzeszczały; gwar zrazu cichy podnosił się z wolna, szemrał, przewalał po izbie, huczał czasami, przechodził miejscami w kłótnię, że jakie takie mocne słowo padało coraz gęściej.

---

<sup>52</sup> *coraz krzepiej* – coraz silniej (od: *krzepki* – silny). [przypis edytorski]

Żydzi szwargotali pod oknami, a jakieś baby na głos opowiadały swoje krzywdy i jeszcze głośniej popłakiwały, ale nie można było rozeznaczyć, kto i gdzie, bo ciasnota była i głowa przy głowie, jako ten zagon pełen maków czerwonych i kłosów żytnich, co go to wiaterek żenie, a on się zakolebie i gwarzy, i szumi, a potem staje równo kłos przy kłosie. To znowu Jewka, dojrząwszy Borynę wspartego o kraty, jęła dogadywać i wykrzykiwać na niego, że zeżłony odrzekł ostro:

– Zamilknij, suko, bo ci gnatki porachuję, że rodzona nie pozna.

A na to Jewka rozszrożona nuż pazury wyciągać i drzeć się do niego przez gęstwą ludzką, aż jej chustka spadła z głowy i dzieciak się rozkrzyczał, że nie wie, na czym by się skończyło, gdy naraz Jacek się zerwał, otworzył drzwi i krzyknął:

– Cicho!ta, ścierwy, bo ano sąd idzie!...

Jakoż i sąd wszedł; najpierw gruby, wysoki dziedzic z Raciborowic, a za nim dwóch ławników i sekretarz, który usiadł przy bocznym stoliku pod oknem i rozkładał papiery a patrzył na sędziów, jak stanęli przy wielkim stole, okrytym czerwonym suknem, i nałożyli złote łańcuchy na grube karki...

Cicho się zrobiło, że słycać było tych, co na ulicy pod oknami gwarzyli.

Dziedzic rozłożył papiery, chrząknął, spojrzął na sekretarza i grubym, donośnym głosem oznajmił, że sądy się rozpoczynają.

Potem sekretarz przeczytał sprawy na dzień dzisiejszy, coś szepnął pierwszemu ławnikowi, ten oddał to sędziemu, który kiwnął głową potakująco.

Sądy się rozpoczęły.

Pierwsza szła sprawa ze skargi strażnika na jakiegoś łyczka o nieporządku w podwórzu.

Skazany zaocznie.

Potem o pobiciu chłopaka za wypasanie końmi koniczyny.

Pogodzili się – matka dostała pięć rubli, a chłopak nowe portki i lejebik.

Sprawa o woranie się<sup>53</sup>.

Odłożona z braku dowodów.

Sprawa o kradzież leśną w borze sędziogo; stawał rządca – oskarżeni chłopcy z Rokicin.

Skazani na kary pieniężne lub odsiedzenie w areszcie po dwa tygodnie.

Nie przyjęli wyroku, pójdą do apelacji.

I tak głośno zaczęli wykrzykiwać na niesprawiedliwość, bo las był wspólny, serwitutowy, aż sędzia skinął na Jacka, i ten zagrzmiął:

– Cicho!ta, cicho!ta, bo tu sąd, nie karczma.

I tak szła sprawa za sprawą, kieby skiba za skibą, równo i dość spokojnie, czasem tylko podnosiły się skargi albo chlupanie, albo i przekleństwo, ale te Jacek wnet przyciszał.

Z izby ubyłoby nieco ludzi, ale w ich miejsce przybyło tyle nowych, że stali zbici kieby w snop, że nikt nie poruszyć się nie mógł i zrobił się taki gorący, iż ani odetchnąć, aż sędzia polecił otworzyć okna.

Teraz szła sprawa Bartka Kozia z Lipiec o kradzież świni u Marcjanny Antonówny Pacześ. Świadców: też Marcjanna, syn jej Szymon, Barbara Piesek itd.

– Świadców czy są? – zapytał ławnik.

– Jesteśmy! – zawołali chórem.

Boryna, który dotąd samotnie a cierpliwie stał przy kracie, przysunął się nieco do Paczesiowej przywitać, boć to była Dominikowa, matka Jagny.

– Oskarżony, Bartek Kozioł, bliżej, za kratę.

Niski chłop przepychał się ze środka tak gwałtownie, aż kłacz poczuli, że depcze po kulasach i przyodziewek ozdiera.

– Cicho!ta, ścierwy, bo przeświecny sąd mówi! – krzyknął Jacek, wpuszczając go.

– Wy Bartłomiej Kozioł?

---

<sup>53</sup> woranie się – zaoranie kawałka cudzego pola. [przypis edytorski]

Chłop drapał się frasośliwie po gęstych, równo obciętych włosach; głupowaty uśmiech skrzywił mu suchą, wygoloną twarz, a małe rudawe oczki chytrze skakały po sędziach niby wiewiórki.

– Wy Bartłomiej Kozioł? – zapytał znowu sędzia, bo chłop milczał.

– Dyc juści, on ci Bartłomiej Kozioł, dopraszam się łaski prześwietnego sądu! – piszczała ogromna kobieta, wpychając się siłą za kraty.

– A wy czego?

– Dopraszam się łaski, a dyc ja żona tego chudziaka, Bartka Kozła – i kłaniała się ręką do ziemi, aż wyrurkowanym czepcem zawadzała o stół sędziowski.

– Świadkujecie?

– Niby to za świadka? ni, jeno dopraszam się...

– Woźny, wyrzuć ją za kratę.

– Wychodźta, kobieto, bo nie la was tu miejsce... – Chwyił ją za ramiona i pchał zadem.

– Dopraszam się prześwietnego sądu, kiej mój ano nie dosłysz na ten przykład... – krzyczała.

– Wychodźta, póki po dobremu – i aż jęknęła, tak ją ciepnał na kratę, bo ani kroku po dobroci ustąpić nie chciała.

– Wyjdźcie, będziemy głośno mówili, to choć on Kozioł, a usłysz!

Zaczeło się wreszcie badanie.

– Jak się nazywacie?

– Hę?... a, przezywam?... Przeciech wołali mę, to niby wiedzieć wiedzą...

– Głupiś. Jak się nazywacie? – indagował nieubłagane sędzia.

– Bartek Kozioł, prześwietny sędzie – rzuciła żona.

– Ile lat?

– Hę?... a, lat?... bo ja to pomnę! Matka, wiele to ja mam roków?...

– Pięćdziesiąt i dwa, widzi mi się, będzie na zwiesnę.

– Gospodarz?...

– I... trzy morgi piachu i ten jeden krowi ogon... sielny<sup>54</sup> gospodarz.

– Był już karany?

– Hę?... karany?...

– Czy siedzieliście w kozie?

– To niby w kreminala?... karany?... Matka, byłem to w kreminala, hę?...

– A byłeś, Bartku, byłeś, a to cię te ścierwy dworskie o to zdechłe jagniątko...

– Juści, juści... na paśniku znalazłem zdechłe jagnię... wzionem, co miały psy rozwłócić... poskarżyły, przysięgły, com ukradł, sąd przysądził... wsadziły mę i siedziałem... Niesprawiedliwość jest ino, niesprawiedliwość... – mówił głucho i obzierał się nieznacznie na żonę.

– Oskarżeni jesteście o kradzież maciory Marcjannie Pacześ! Wzięliście ją z pola, zagnali do domu, zarznąli i zjedli! Co macie na swoją obronę?...

– Hę? Zjadłem! Żeby tak Boga przy skonaniu nie oglądał, że nie zjadłem... Moiściewy, zjadłem!... o świecie, świecie rodzony, ja zjadłem! – wołał żałośnie.

– Cóż macie na swoją obronę?

– Obronę?... miałem to co rzec, matka?... Juści, baczę; niewinowatym, świni nie zjadłem, a Marcjanna Dominikowa, na ten przykład, szczeka bele co, kiej ten pies, że ino chycić za ten paskudny pysk a sprać... a...

– O ludzie, ludzie!... – jęknęła Dominikowa.

– To już sobie później zrobicie, a teraz mówcie, jakim sposobem świni Paczesiowej znalazła się u was?...

– Świni Paczesiowa... u mnie?... Matka, co to wielmożny dziedzic rzekli?...

---

<sup>54</sup> *sielny* – silny, potężny, wielki; tu: ironicznie. [przypis edytorski]

– A dyć, Bartku, to o tym prosiaku, co to za tobą przylazł do chałupy...

– Baczę, juści, że baczę, bo prosiak to był, a nie świnia żadna; dopraszam się łaski wielmożnego sądu, niech słyszą, com ano rzekł, i przywtórzę; prosiak to był, a nie świnia; biały prosiak, a kiele ogona abo i zdziebko poniżej czarno łaciaty.

– Dobrze, ale skąd się wziął u was?

– Niby u mnie?... Zarno wszycko dokumentnie rzeknę, z czego się pokaże la prześwieznego sądu i la zgromadzonego narodu, co jestem niewinowaty, a Dominikowa cygan jest baba, pleciuch i ozornica zapowietrzona!

– Ja cyganię! A dyć tej Najświętszej Paniienki uproszę, żeby was pierun bez świętej spowiedzi nie trzasnął! – rzekła cicho, z westchnieniem ciężkim do obrazu Matki Boskiej, wiszącego w rogu izby, Dominikowa, a potem, że to już ścierpieć nie mogła, wyciągnęła zwiniętą, chudą pięść do niego i syknęła:

– Ty złodzieju świński! ty zbój! ty!... – i rozczapierzyła palce, jakby go chycić chciała.

Ale Bankowa rzuciła się do niej z krzykiem.

– Co! biłabyś go, suko jedna, biłabyś, czarownico, kacie synowski, ty!

– Uciszyć się! – zawołał sędzia.

– Stulta pyski, kiej sąd mówi, bo waju wyciepnę na osobność! – poparł Jacek, podciągając parcianki, bo mu się był obertelek<sup>55</sup> oberwał.

Uciszyło się zaraz, a baby, że to blisko było do chwycenia się za łby, stały już cicho, ino się oczami jadły a wzdychały ze złości...

– Mówcie, Bartłomieju, mówcie wszystko a prawdę.

– Prawdę?... Samą czystą kiej szkło prawdę rzeknę, rzetelnie powiem, kiej na spowiedzi, kiej gospodarz do gospodarzy, kiej swój do swojaków, bom gospodarz z dziada pradziada, a nie komornik, nie prefesjant jaki abo i jenszy miescki zdzier. To tak było.

– Patrz dobrze w głowę, byś czegoj nie przepomniał – radziła.

– Nie przepomnę, Magduś, nie. To było tak. Szedłem se... a baczę, że to rychtyk zwiesna była... i za Wilczym Dołem, wedle Borynowej koniczyny... idę se i mówię pacierz, bo na ten przykład przedzwonili już na Anioł Pański... nocka też szła... idę se... jaż tu słyszę: głos nie głos?... Loboga, myślę se: chrząka albo i nie chrząka?... Oglądnałem za się – niczegoj nie widno, cicho całkiem. Złe mę kusi czy co?... Ide dalej i że mę zdziebko mrówki oblażyły ze strachu, mówię se Pozdrowienie Anielskie. Chrząka znowu! Cie! myślę sobie, nic, jeno swynia to abo i zasie prosiak. Zlazłem zdziebko w bok, w koniczynę i obejrzałem się... juści, że cosik lizie za mną, przystanałem ja – przystaneło i to, a białne, niskie i długie... a ślepie świeciły się kiej u żbika abo zgoła u złego... Prześgnałem się, a że i skóra mi ścierpła, tom ruszył lepszym krokiem – jakże, abo to wiadomo, co się po nocach tłucze?... A wszyscy w Lipcach wiedzą, co na Wilczych Dołach straszyc.

– Juści, że prawda, bo łoni, kiej Sikora przechodził tam nocą, to go ułapiło za grdykę i rzuciło o ziemię, i tak zbiło, że chłop chorzał dwie niedziele – objaśniała żona.

– Cichoj, Magduś, cichoj! Idę, idę... idę... a to fort lezie za mną i chrząka! A że to był rychtyk miesiączek wylazł se na niebo, to patrzę, a to ino prosiak, nie złe. Ozgniewałem się, bo co se ten głupi myśli – straszyc, tom rzucił nań patykiem i idę ku domowi. Szedłem se miedzą, między Michałowymi burakami a pszenicą Borynową, a potem między jarką Tomka a owsem tego Jaśka, co go łoni do wojska wzieni, a którego to kobieta akuratnie wczoraj zległa... Prosiak fort za mną kiej pies, to se idzie obok, to wlaż w kartofle Dominikowej i tu pysknie, i tam pysknie, i chrząknie, i kwiknie, a nie ostaje, ino za mną...

Skręciłem na ścieżkę, co bieży na przełaj – ona za mną. Gorąco mi się zrobiło, bo laboga, taka świnia, co może nie świnia! Skręciłem na drogę wedle figury, prosiak za mną... Widziałem, biały był, a kiele ogona, poniżej zdziebko, czarno łaciaty! Ja bez rów – ona za mną, ja na te mogliki, co

---

<sup>55</sup> *obertelek* – drewniany kołeczek spełniający funkcję guzika. [przypis edytorski]

za figurą są – ona za mną, ja na kamionki, a ona kiej mi się nie rzuci pod kulasy – rymnąłem kiej długi. Opełnana czy co?... Ledwie się pozbierał, a ona kiej nie zadrze ogona i w skok przede mną! A lećże se, zapowietrzona, pomyślałem. Ale nie uciekła, ino wciąż przede mną leciała – aż do samej chałupy – aż do samej chałupy, przeświecny sądzie, aż w ogrodzenie weszła, aż do sieni wlała, a że drzwi do izby były wywarte, to i do izby poszła... Tak mi Panie Boże dopomóż. Amen!

– A potem zarznięliście i zjedli, prawda? – rzekł sędzia rozbawiony.

– Hę! Zarznięli i zjedli?... A cośwa zrobić mieli? Przeszedł dzień – prosiak nie odchodzi; przeszedł tydzień – jest, ani jej wygonić, bo z kwikiem wraca!... Moja podtykała jej, co mogła, bo jakże głodem morzyć, Boże stworzenie też... Przeświecny sąd jest mądry, to sprawiedliwie se wymiarkuje, że com z nią biedny sierota miał zrobić? Niktoj po nią nie przychodził, a w domu bieda – a żarła, że i dwie drugie tyle nie zechlają... Jeszcze z miesiąc, to by nas zeżarła i z bebechami... Co było radzić? Miała ona nas – tośwa my ją zjadły, a i to niecała, bo na wsi się zwiedziały, a Dominikowa poskarżyła, że to jej, przyszła ze sołysem i zabrała wszystko...

– Wszystko?... a cały zad to gdzie?... – syknęła złowrogo Dominikowa.

– Gdzie? Spytajta się Kruczka i drugich piesków. Wynieśliśmy na noc do stodółki. Psy, że to czujne psie pary, a wrota były dziurawe, wyciągnęły i bal se sprawiły moją krwawicą, że chodziły obzarte kiej te dziedzice.

– Hale, świnia sama poszła za nim, głupi uwierzy, ale nie sąd. Złodziej jucha, a barana młynarzowi, a gęsi dobrodziejowi to kto pokradł, co?...

– Widziałaś, co? Widziałaś! – wrzasnęła Kozłowa, przyskakując z pazurami.

– A kartofle z organistowego dołu to kto?... A ciągiem cosik komuś we wsi ginie, to gaska, to kury, to sprzęt jaki – ciągnęła nieubłaganie.

– Ty ścierwo! Coś ty robiła za młodu, a i co twoja Jagna teraz wyprawia z parobkami, to ci tego nikt nie wypomina, a ty kiej ten pies...

– Wara ci od Jagny! Wara, bo ci ten pysk tak spierę, że... Wara!... – ryknęła wielkim głosem, ugodzona jak w żywe mięso.

– Cichojsza, pyskacze, bo za drzwi wyciepnę! – uciszał Jacek, podciągając parcianek.

Zaczęło się przesłuchiwanie świadków.

Najpierw świadczyła poszkodowana, Dominikowa – a zeznawała cichym, nabożnym głosem i przysięgała co chwila przed tą Częstochowską, jako świnia jej, i zęgnęła się, i biła w piersi, że prawda jest, jako ją ukradł z pastwiska Kozioł, i nie żądała od przeświecnego sądu kary na niego, niech mu już tam Jezusiczek czyścica za to nie pożałuje – ale domagała się wielkim głosem sądu i kary za to, że tak sponstponował ją i Jagnę wobec całego narodu.

Świadczył potem Szymek, syn Dominikowej; czapkę powiesił na rękach złożonych jak do pacierza, oczów nie spuścił z sędziego i jęklwym, nieprzytomnym głosem zeznawał, że świnia była matczyzna, że białna była cała, a ino kiele ogona czarną łatę miała, a ucho rozerwane, bo ją był Łapa Borynowy chycił na zwieszę, a tak kwiczała, że chociaż w stodółce był – usłyszał...

Potem zavezowano Barbarę Piesek i innych.

Świadczyli po kolei i przysięgali, a Szymek wciąż stał z czapką na rękach, wpatrzony pobożnie w sędziego, a Kozłowa darła się za kratę z krzykiem zaprzeczeń i złorzeczeń, a Dominikowa ino wzdychała do obrazu, a poglądała na Kozła, który skakał oczami, nasłuchiwał, a obzierał się na swoją Magdusię.

Naród słuchał uważnie i raz wraz szmer, to uwagi złośliwe albo śmiech się rozległ głuchy pod powałą, aż Jacek musiał przyciszać groźbą.

Sprawa ciągnęła się długo, aż do przerwy, w której sąd poszedł do sąsiedniej izby na naradę, a naród wysypał się do sieni i przed dom odetchnąć nieco: kto pojeść zdziebko, kto ze swoimi świadkami się zmówić, kto wywodzić krzywdy swoje, a jenszy znowuj wyrzekać na niesprawiedliwość a pomstować, jak to zwyczajnie bywa na rokach.

Po przerwie i odczytaniu wyroków przyszła na stół sprawa Boryny.

Jewka stanęła przed sądem i pohuśtując dziecko, obwinęte w zapaskę, jęła płacząco wywodzić krzywdy swoje i żale; jako służyła u Boryny i pracowała, jaże jej kulasy ustawały, a nigdy dobrego słowa nie usłyszała, kąta nie miała na spanie ani jadła dość, że się u sąsiadów pożywiać musiała, a potem zasług nie zapłacił i z jego własnym dzieckiem wygnał ją w cały świat... buchnęła w końcu ogromnym płaczem i rzuciła się na kolana przed sędziami z krzykiem:

– Krzywda to moja, krzywda! a dzieciak jego, prześwietny sądzie!

– Cygani jak ten pies – mruknął Boryna ze zgrozą.

– Ja cyganię?! A dyć wszystkie, a dyć całe Lipce wiedzą, że...

– Żeś suka i latawiec...

– Wielmożny sądzie, a przódzi to mi ino mówili: Jewka, Jewuś, i jeszcze słodziej, a to mi paciorki przywieźli, a to często gęsto bułkę z miasta i mówili: „Naści, Jewuś, naści, boś mi najmilejsza...” – a teraz, o mój Jezu, mój Jezu!... – poczęła ryczeć.

– Cygan, jucha, możem cię jeszcze pierzyną przyodział i mówił: „Śpij se, Jewuś, śpij!...”

Izba zatrzęsła się śmiechem.

– Abo nie, co? Abośta nie skamłali, jako ten pies przed drzwiami, abośta mało obiecowali, co?

– Loboga, ludzie, że to pierun nie zabije taką pokrakę? – zakrzyknął zdumiony.

– Wielmożny sądzie, cały świat wiedział, jak to było, całe Lipce mogą przyświadczyć, co prawdę mówię. Służyłam u nich, to mi ciągiem spokoju nie dawał. O biedna ja sierota, biedna!... O dola moja nieszczęśliwa!... Abo tom się mogła obronić przed tylim chłopem?... Krzyczałam, to mę sprął i zrobił, co chciał... A gdzież ja się podzieję z tym dziecięcym, gdzie?... Świadki powiedzą i przyświadczą! – wołała wśród płaczu i krzyków.

Ale świadkowie w rzeczywistości nic nie zeznali prócz plotek i domysłów, więc znowu jęła dowodzić i przekonywać, aż w końcu jako ostatni dowód rozpowiła dziecko i położyła je przed sędziami; dziecko wierząco nagimi nóżkami i krzyczało wniebogłosy.

– Wielmożny sąd sam obaczy, czyje ono; o, ten ci sam nos kiej kartofel, te same bure ślepie i kaprawe... Kropla w kroplę nikt jenszy, jeno Boryna!... – wołała.

Ale już i sąd nie mógł powstrzymać się od śmiechu, a naród aż huczał z uciechy, przyglądali się dziecku, to Borynie i raz wraz ktoś powiedział:

– To ci pannica, kiej ten pies odarty ze skóry!

– Boryna wdowiec, ożeniłby się z nią, a chłopak zdałby się do pasionki...

– Lenieje ci ona kiej krowa na zwiesnę.

– A urodna! jeno grochowinami przytrząść i w proso wsadzić – wszystkie gapy<sup>56</sup> uciekną...

– Już i tak psy uciekają, kiej Jewusia bez wieś idzie!...

– A gębusię ci ma kiej pomyjami wymalowaną...

– Bo gospodarna, raz w rok się myje, coby na mydło nie wydawać...

– Żydom w piecach pali, czasu nie ma, to i nie dziwota!

Dogadywali coraz złośliwiej i okrutniej, a ona zmiłkła i nieprzytomnymi oczami psa zgonionego patrzyła po ludziach i ważyła coś w sobie...

– Cicho! To grzech tak się naśmiewać nad biedotą! – krzyknęła Dominikowa tak mocno, aż pomilkli, i jaki taki drapał się po łbie ze wstydu.

Sprawa skończyła się na niczym.

Boryna poczuł niezmierną ulgę, bo chociaż nie był winien, ale zawsze bojał się ludzkiego obmówiska, no i tego, że przysądzić mogą, by płacił – bo prawo juści jest ci takie, że nikiej nie wiada, kogo za łeb chyci, winowatego czy sprawiedliwego. Bywało już tak nie raz, nie dwa, nie dziesięć... bywało.

Wyszedł zaraz ze sądu i czekając na Dominikową, jął medytować i rozważać w sobie całą tę sprawę. Nie mógł zrozumieć, po co i dlaczego skarżyła.

---

<sup>56</sup> gapa – wrona. [przypis edytorski]

– Ni, to nie jej rozum i głowa, to jenszy, ktoś drugi przez nią sięga, ale kto?...

Poszli z Dominikową i z Szymkiem do karczmy napić się i przegryźć coś niecoś, bo było już dobrze po południu, i chociaż mu Dominikowa napomykała z lekka, że cała ta Jewczyzna sprawa to musi być robota kowala, zięcia jego, nie mógł uwierzyć.

– Co by mu z tego przyszło?

– Tyla, żeby was pokłzyźnić a podać na pośmiewisko i umartwienie. Drugi człowiek jest taki, że z jenszego la samej uciechy pasy by darł.

– Dziwno mi tej zawziętości Jewczynej! Bom nie ukrzywdził w niczym, a jesczem za chrzest tego jej bękarta dał dobrodziejowi worek owsa...

– Służy ona u młynarza, a ten w kompanii z kowalem chodzi... miarkujecie?!...

– Miarkuję, ino że nic rozeznac nie mogę! Napijwa się jeszcze!

– Bóg zapłać, pijcie przódzi, Macieju!

Napili się raz i drugi, zjedli drugi funt kiełbasy z półbochenkiem chleba, stary kupił rząddek bułek dla Józki i zabierali się do powrotu.

– Siadajcie, Dominikowa, ze mną, ckno samemu, pogwarzym...

– A dobrze, ino skoczę jeszcze do klasztoru zmówić pacierz.

Poszła, ale w dobre dwa pacierze już była z powrotem, i zaraz pojechali.

Szymek włókł się za nimi wolno, bo w jedną szkapę i piachy były srogie, ale rozebrało go nieco, że to nie był zwyczajny picia i oszołomiony sądem, to się ino kiwał sennie w półkoszkach i raz wraz przecykając<sup>57</sup> zdierał czapkę ze łba, żegnał się nabożnie i wpatrzony nieprzytomnie w ogon szkapy, jakoby w dziedzicową twarz na sędzie, mamrotał: „...Świnia matczyzna, białna cała, a ino kiele ogona czarną łatę miała...”

Słońce się już było przetaczało ku zachodowi, gdy wjechali w las.

Mało wiele pogadywali, choć siedzieli w podłe siebie na przednim siedzeniu.

Czasem któreś zagadnęło jakimś słowem, że to nieobyczajnie siedzieć jak te mruki, ale ino tyła tego było, żeby śpik nie morzył i język nie zasechł...

Boryna poganiał żróbkę, bo wolniła, że to już do pół boków spotniała z umęczenia i gorąca, czasem pogwizdał a milczał, i coś żuł, coś ważył w sobie, coś kalkulował i często a niewidnie poglądał na starą, na jej suchą kieby z blichowanego wosku twarz, całą w podłużnych bruzdach zastygłą – poruszała bezzębnymi wargami, jakby się modliła po cichu; czasem pociągała czerwoną zapaskę barzej na czoło, bo słońce świeciło prosto w oczy, i siedziała nieruchomo, ino jej bure oczy gorzały.

– Wykopaliście ta już, co? – zagadnął wreszcie.

– A juści. Obrodziły latoś niezgorzej.

– Przychować będzie wama łącniej.

– Wsadziłam też wieprzka do karmika, bo w zapusty może się zdać...

– Pewnie, pewnie... mówili, że Walek Rafałów przysyłał z wódką?...

– Nie on jeden, nie... ale po próżnicy ino grosz tracą... nie la takich Jaguś moja, nie.

Podniosła głowę i jastrzębimi oczami wpiła się w niego, ale Boryna, że człek był w latach, nie wicher żaden, to twarz pokazał zimną i spokojną nie do rozeznania. Długo nie rzekli ni słowa, jakby się tą niemotą mocując ze sobą.

Borynie nijako było zaczynać pierwszemu, bo jakże, w latach już był i gospodarz na całe Lipce pierwszy; no i mógł to zasię tak prosto rzec, co mu się Jaguś udała?... Honor przeciech swój miał i pomyślenie – ale że krwie gorącej był z przyrodzenia, to aże go złość porywała, że musi tak baczyć na siebie, tak kołować a zabiegać.

Dominikowa prezierała go coś niecoś i miarkowała zasię, co go tak markoci i rozbiera, ale ni słówkiem nie pomogła, ino raz wraz poglądała nań, to w ten świat i te dalekości niebieskie, aż i rzekła niechęcący:

---

<sup>57</sup> *przecykac (się)* – budzić się z drzemki. [przypis edytorski]

- Gorąc ci taki, kieby we zniwa.
- Rzekliście.

Jakoż i tak było, bo drogę otaczały potężne ściany boru, że żaden wiaterek ni przewiew nijaki nie przedzierał się z pól, a słońce wisiało prosto nad głowami i tak dogrzewało, że rozprażone drzewa stały bez ruchu i omdlałe czuby pochylały nad drogą, i tylko raz wraz puszczały bursztynowe igliwo, co kołujący spływało na drogę. Grzybny zapach bajorów i liścia dębowego aż wiercił w nozdrzach.

– Wiecie, dziwno to mnie, a i drugim, że taki gospodarz, co to i pomyslenie nie bele jakie ma, i grontu tela, i posłuch u narodu – kiej wy na ten przykład, a do urzędu ambitu nie macie...

– Utrafiliście, że ambitu nijakiego nie mam. Co mi po tym? Sołtysem byłem bez trzy ruki, tom dopłacił gotowym groszem. A com namarnował siebie i konisków! com się nakłyźnił i nabiegał, że i ten pies polowy nie więcej... A upadek w gospodarstwie był i marnacja, że jaże mi moja nie dała dobrego słowa...

– Miała i ona swój rozum. Urzędnikiem być zawždy to i honor jest, i profit.

– Bóg zapłać. Strażnikowi się kłaniaj, pisarza obłapiaj za nogi i bele ciaracha, co z urzędu – też... Wielgi mi honor! Nie płacą podatków, most się popsowa, wścieknie się pies, który weźmie kłonicą po łbie – kto winowaty?... Sołtys winowaty, do śtrafu sołtysa ciągną! Hale, jest profit. Dostyc ja pisarzowi i do powiatu nanosił i kur, i jajków, i gaskę niektórą...

– Prawdę mówicie, ale Pietrkowi wójtostwo do grdyki nie wraca, nie; grontu już dokupił i stodółkę dostawił, i konie ma kiej te hamany!...

– Juści, ino nie wiada, co mu z tego ostanie, kiej się urząd skończy...

– Myślicie...

– Oczy swoje mam i miarkuję se zdziebko...

– Dufny ci on w siebie i z dobrodziejem<sup>58</sup> koty drze.

– A że mu się darzy, to ino bez kobietę; on se wójtuje, a ona w garści wszycko dzierży.

Milczeli znowu z pacierz dobry.

– A wy to nie poślecie z wódką do której?... – zapytała ostrożnie.

– I... nie bierą mę już ciągutki do kobiet, za starym...

– Nie powiadajcie po próznicy! Ino ten stary, co się ruchać nie może, łyżki sam do gęby nie doniesie i na przypiecku se dochodzi... Widziałam, kiejście worek żyta nieśli.

– Juści, zem w sobie krzepki jeszcze, ale która by ta poszła za mnie?...

– Którą nie probant, co wie? Obaczycie!

– Starym, dzieci dorastają... a pierwszej z brzegu nie wezmę...

– Zróbcie ino zapis, a i co najpierwsze się wama nie sprzeciwią...

– La zapisu! Kiej te świnie! Za tę morgę to i młódka najczystsza a pójdzie choćby za dziada spod kościoła...

– A chłopy to za wianem nie patrzą, co?

Nie odrzekł już, jeno skropił batem żrebicę, że ruszyła z miejsca galopem.

Milczeli długo.

Dopiero gdy wyjechali z lasu na pola, między przydrożne topole, Boryna, który cały ten czas burzył się w sobie i przegryzał, wybuchnął:

– Na psy takie urządzenie we świecie! Za wszystko płąć, choćby i za to dobre słowo! Żle jest, że i gorzej być nie było. Już nawet dzieci na ojców nastają, posłuchu nie ma nijakiego, a wszystkie się żrą ze sobą kiej psy.

– Bo głupie, nie baczą, że wszystkich jednako ta święta ziemia pokryje.

– Leda jeden abo drugi od ziemi odrósł, a już do ojców z pyskiem, coby mu jego część dawali. Ze starszych się ino prześmiewają! Ścierwy, we wsi im ciasno, porządki stare im złe, ubieru nawet wstydzą się niektórzy!

---

<sup>58</sup> z dobrodziejem – tj. z księdzem. [przypis edytorski]

– To wszystko bez to, że Boga się nie boją...

– Bez to i nie bez to, a źle jest.

– Nie idzie na lepsze, nie.

– Ma iść, kto ich ta zniewoli?

– Kara boska! Bo przyjdzie ta godzina sądu Panajezusowego, przyjdzie.

– Ale co się przódzi narodu namarnuje, tego nikt nie odbierze.

– Czasy takie, że lepiej, coby mór przyszedł.

– Czasy! Juści, ale i ludzie są winne. A kowal to co? A wójt? Z dobrodziejem się drą, ludzi buntują a tumanią, a głupie wierzą.

– Ten kowal to moja trucizna, chociaż i zięć też...

I tak se już społecznie wyrzekali na ten świat, poglądając na wieś, co była już coraz bliżej widna, przez topole.

Pod smętarnem czerwienił się już z dala rząd kobiet pochylonych i zasnutych delikatną mgłą dymów, a wkrótce i głuchy, monotony trzepot miądlie jął raz wraz dopływać z powiewem, co się był podnosił z nizinnych łąk.

– Dobry czas na miądlenie. Zlezę przy nich, bo jest tam i Jaguś moja.

– Nic mi z drogi, to was podwiezę...

– Dobrzyście, Macieju, że jaże mi dziwno... – uśmiechnęła się chytrze.

Skręcił z topolowej na polną dróżkę, co biegła do smętarnich wrótni, i podwiózł pod smętarn, gdzie pod kamiennym szarym płotem, w cieniu brzoź, klonów i tych krzyżów, co się z mogiłek pochylały ku polom, kilkanaście kobiet miądlilo zawzięcie suchy len, aż mgła pyłów wisiała nad nimi i długie włókna czepiały się żółtych listków brzoź i wisiały u czarnych ramion krzyżów; w podle, na prętach rozpiętych, nad dołami, w których paliły się ognie, przesuszano len mokrawy jeszcze.

Miādlice ostro kłapały, aż cały rząd kobiet pochylał się ciągle w krótkich a prędkich drganiach, i tylko coraz któraś się prostowała, roztrzepywała przygarść lnu z ostatnich październicy, zwiјаła ją w kukłę libo w chochoła i rzucała na rozpostartą płachtę przed siebie.

Słońce, że się już było przetoczyło nad lasy, świeciło im prosto w twarze, ale nic to – robota, śmiechy, wesołe słowa nie ustawały ani na to oczymgnienie.

– Szczęść Boże na robotę! – zawołał Boryna do Jagny, która miądlila z kraja zarno; w koszuli była ino a w czerwonym wełniaku i w chustce na głowie od kurzu.

– Bóg zapłać! – odrzuciła wesoło i modre, ogromne oczy podniosła na niego, i uśmiech przeleciał przez jej urodną, opaloną twarz.

– Suchy, córuchno, co? – pytała stara, obmacując obmiądlone garście.

– Suchy kiej pieprz, jaże się łamie... – Znowu spojrziała na starego z uśmiechem, aż ciarki przeszły po nim, że świsnął batem i odjechał, ale raz wraz się obracał za nią, choć już widna nie była, bo mu jak żywa stała w oczach...

– Dzieucha kiej łania... W sam raz – rozmyślał.

## IV

Była niedziela – cichy, opajęczony, przesłoneczniony dzień wrześnieowy.

Na ściernisku, tuż za stodołami, pasł się dzisiaj cały inwentarz Borynowy, a pod brogiem<sup>59</sup> wysokim i pękatym, okrążonym zieloną szczotką żyta, wykruszonego przy układaniu, leżał Kuba, dawał baczenie na inwentarz i uczył pacierza Witka – często pokrzykiwał na niego albo i zasie szturchał biczyskiem, bo chłopak mylił się i latał oczami po sadach.

– Bacz, coć rzekłem, bo to pacierz – upominał poważnie.

– Dyc baczę, Kuba, baczę.

– To czegoś ślepiasz po sadach?

– Widzi mi się, co są jeszcze jabłka u Kłębów...

– Zjadłbyś! A sadziłeś je to, co? Powtórz „Wierzę”.

– Wyście też nie wywiedli kuropatwów, a wzieniście całe stado.

– Głupiś! Jabłka są Kłębowe, a ptaszki Panajezusowe, rozumiesz!

– Aleście je wzieni z dziedzicowego pola...

– I pole jest Panajezusowe. Hale, jaki mądrała, powtórz „Wierzę”.

Powtarzał prędko, bo go już kolana bolały od klęczenia, ale nie ścierpiał...

– Widzi mi się, co żróbka idzie w Michałową koniczynę! – krzyknął gotowy do biegnięcia.

– Nie bój się o żróbkę, a patrz pacierza...

Kończył wreszcie, ale już nie mógł wytrzymać, przysiadł na piętach, wykręcał się na wszystkie strony, a zoczywszy bandę wróbli na śliwkach, śmignął w nie grudką ziemi i spiesznie bił się w piersi.

– A ochfiarowanie to zjadłeś kiej ulęgałkę, co?

Powiedział ochfiarowanie i z wielką ulgą wziął się do śpiącego Łapy i jał z nim baraszkować.

– Ale, gził się ciągiem będzie, kiej ten cielak głupi.

– Poniesiecie dobrodziejowi ptaszki?

– Poniesę...

– Spieklibym w polu.

– Spiecz se ziemniaków. Co mu się zachciewa!

– Idą już do kościoła! – zawołał Witek, spostrzegając przez płoty i drzewa migające czerwone zapaski na drodze.

Słońce przygrzewało niezgorzej, że wszystkie okna i drzwi chałup powywierano na przestrzał; gdzieniegdzie, pod przyzbami, myto się jeszcze, gdzie znowu czesano i zapletano warkocze, gdzie wytrzepywano świąteczne szmaty, zmięte całotygodniowym leżeniem w skrzyniach, gdzie już wychodzono na drogę, że raz wraz niby maki czerwone, niby georginie żółte, co dokwitały pod ścianami, libo te nagietki i nasturcje – tak szły kobiety strojne, szły dziewczyny, szli parobcy, szły dzieci, szli gospodarze w białych kapotach, podobni do ogromnych żytnich snopów, a wszyscy dążyli wolno ku kościołowi drogami nad stawem, któren niby misa złota odbijał w sobie słońce, aż oczy raziło.

A dzwony wciąż były radosnym głosem niedzieli, odpocznienia, modlitwy.

Kuba czekał, aż przedzwonią, ale że nie mógł się doczekać, schował pęk ptaków pod kapotę i rzekł:

– Witek, jak wydzwonią, spędź bydło do obór i przychodź do kościoła.

Ruszył, ile mógł, rychło, bo kulał srodze, dróżką biegnącą pod ogrodami, a tak zasłaną żółtym liściem topoli, że szedł kieby po szafranowym kilimie.

---

<sup>59</sup> *bróg* – oparte na czterech słupach słomiane zadaszanie, pod którym składowano zboże przed młóceniem, a niekiedy również inne zbiory. [przypis edytorski]

Plebania stała na prost kościoła, przedzielona tylko odeń drogą, w głębi wielkiego ogrodu, pełnego jeszcze gruszek zielonych i jabłek rumianych.

Przed gankiem, obrośniętym w poczerwieniałe wino, Kuba się zatrzymał bezradnie, spozierając nieśmiało w okna i w sień, powywierane na oścież; a że wejść nie śmiał, cofnął się pod wielki klomb, pełen róż, lewkonii i astrów, od których bił słodki, upajający zapach; stado białych gołębi laziło po zielonym, omszonym dachu i sfruwało na ganek.

Ksiądz chodził po ogrodzie z brewiarzem w ręku, ale raz wraz potrząsał gruszą, to jabłonką, że słyhać było ciężkie pacanie owoców o ziemię, pozbiarał je w potę sutanny i niósł do domu.

Kuba zastąpił mu drogę i pokornie podjął za kolana.

– Cóż to powiecie? Aha... Kuba Borynowy.

– Juści... dyć parę kuropatków dobrodziejowi przyniosłem.

– Bóg ci zapłać. Chodź za mną.

Kuba wszedł ino do sieni i ostał przy progu, bo nijak nie śmiał wejść na pokoje, poglądał tyła co przez drzwi otwarte na obrazy wiszące po ścianach i przeżegnał się pobożnie, i westchnął, a tak się czuł olśniony tymi ślicznościami, że aże łzy miał w oczach i koniecznie chciało mu się zmówić pacierz, jeno że się bojał klęknąć na błyszczącej, śliskiej posadzce, żeby jej nie powalać.

Ale i ksiądz zaraz wyszedł z pokojów, dał mu złotówkę i rzekł:

– Bóg ci zapłać, Kuba, dobry z ciebie człowiek i pobożny, bo co niedziela chodzisz do kościoła.

Kuba podjął go za nogi, ale był tak ogłuszony radością, że ani wiedział, kiedy znalazł się na drodze...

– Cie, za te parę ptaszków, a tylachna pieniędzy! Dobrodziej kochany! – szeptał, przyglądając się pieniądźwi. Nieraz ci on nosił dobrodziejowi różne ptaszki, to zajaczka, to grzybków, ale nigdy jeszcze tyła nie dostał; co najwyżej to dziesiątkę albo i to dobre słowo... A dzisiaj!... Jezu mój kochany! Całą złotówkę, i na pokoje go wołał, i tyła dobrości mu powiedział... Jezus! Aże za grdykę go coś ułapiło i łzy same leciały mu z oczów, a w sercu poczuł taką gorącość, jakby mu kto zarzewia nasuwał za pazuchę...

– Ino jeden ksiądz uszanuje człowieka, ino on jeden!... Niech ci Bóg da zdrowie i ta Panienska Częstochowska... Dobry z ciebie pan, dobry!... Boć cała wieś: i parobki, i gospodarze, i wszystkie, to ino go kulasem przezywali, a niezgułą, a darmożjadem, a nikto dobrego słowa nigdy nie dał, nikto nie pożałował – chyba ino te koniska albo i te pieski... a przecież rodowy był... gospodarski syn... nie znajda żaden... nie obieżyświat, a chrześcijan prawy, katolik...

Podnosił głowę coraz wyżej i coraz hardziej, prostował się, jak mógł, i z góry, wyzywająco prawie patrzył na świat, na ludzi wchodzących na smętarz i na te konie, co stały pod murem przy wozach; nadział czapę na skołtunioną głowę i wolno, godnie ruszył do kościoła, jak gospodarz jaki, zatykając ręce za pas i tak zamiatając krzywą nogą, że kurzawa za nim wstawała.

Nie, nie ostał dzisiaj w kruchcie jak zawdy, jak przystało la niego, jeno się mocno jał przepychać przez ciżbę i parł prosto aż przed wielki ołtarz – aż tam, gdzie stawały same gospodarze, gdzie stał Boryna i wójt sam; kaj stawały te, co nosiły baldach nad dobrodziejem, albo i te, co ze świecami kiej kłonicie trzymali straż przy ołtarzu w czas Podniesienia.

Patrzyli na niego ze zdumieniem i zgrozą, a często gęsto usłyszał przykre słowo i odebrał takie spojrzenie, jako ten pies, któren się tam ciśnie, gdzie go nie wołają. Ale Kuba nic sobie z tego dzisiaj nie robił; ścisnął w garści pieniądz, a duszę miał pełną słodkości i dobroci, jakoby po spowiedzi się czuł albo zasie i lepiej.

Zaczęło się nabożeństwo.

Uklęknął przy samej kracie i śpiewał z innymi, zapatrzony pobożnie w ołtarz, gdzie u góry był Bóg Ociec, siwy Pan i srogi, rychtyk podobny do dziedzica z Drzazgowej Woli, a w pośrodku sama Częstochowska w złocistym obleczeniu patrzyła na niego... a wszędy lśniła się pozłota, jarzyły się świece i stały bukiety papierowych czerwonych kwiatów... a ze ścian i z okien kolorowych wychylały się złote obręcze i święte, surowe twarze, i smugi złota, purpury, fioletu niby tęcza padały na jego

twarz i głowę, całkiem jakby się unurzał w stawie przed zachodem, kiedy słońce bije w wodę. I poczuł się jakoby w niebie w tych ślicznościach, że ruchać się nie śmiał, ino klęczał wpatrzony w czarniawą, słodką, matczyną twarz Częstochowskiej, ino mówił pacierz za pacierzem spieczonymi wargami, a potem ino śpiewał tak żarliwie, tak ze wszystkich sił duszy wierzącej, tak sercem pełnym ekstazy, że jego zaschły, skrzypiący głos rozlegał się najdonośniej.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.